

PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI**NR 218**RUCH ODNOWY
† SEOWIAN †**1 VI 2009 R.**

NOWY JORK, CHICAGO, TORONTO, BERLIN, WARSZAWA.
PATRIOTYCZNY RUCH POLSKI W INTERNECIE: www.wicipolskie.org

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy!

W naszym biuletynie zamieszczamy teksty różnych autorów, tak „z pierwszej ręki” jak i przedruki, traktujące o najistotniejszych problemach Polski i Świata. Kluczem doboru publikowanych treści, nie jest zgodność poglądów Autorów publikacji z poglądami redakcji lecz decyduje imperatyw ważnością tematu. Poglądy prezentowane przez Autorów tekstów, nie zawsze podzielamy. Uznając jednak że wszelka wymiana poglądów i wiedzy, jest pożyteczna dla życia publicznego - prezentujemy nawet kontrowersyjne opinie, pozostawiając naszym czytelnikom ich osąd.

Redakcja

Adres kontaktowy Redakcji PRP: PO Box 1602, Cranford NJ 07016 i internetowy: turobin@netzero.net

W numerze: 1) Wiadomości; 2) Na moim małym podwórku; 3) „Pytajnia” Pana Prezydenta Kaczyńskiego; 4) Co ma durnota do urny wyborczej?; 5) 5 lat w świecie unijnym; 6) Burdel, czy zdrada?; 7) Zapis rabowania Polski - III; 8) „Pierwsza Kadrowa” PRL; 9) Opowieść o człowieku niezłomnym; 10) Krótkie streszczenie głównych błędów soborowej eklezjologii; 11) Holodomor - II;

Skandaliczne postępowanie katolickich uczelni w USA

Nie cichną kontrowersje wokół dwóch katolickich uczelni w USA. W poniedziałek (20 kwietnia 2009) rektor Uniwersytetu Notre Dame o. John Jenkins dolał oliwy do ognia mówiąc, że uhonorowanie tytułem doktora honoris causa obecnego prezydenta Baracka Obamy będzie „doniosłym wydarzeniem” dla Notre Dame. Przyznał również, że uniwersytet jest ‘niezmiernie dumny’, że będzie mógł gościć w swoich murach pierwszego afro-amerykańskiego prezydenta USA.

Filia innego katolickiego uniwersytetu - skądinąd bardzo zasłużonego dla kraju - Georgetown Law School zamierza przyznać specjalną nagrodę wiceprezydentowi Johnowi Bidenowi, który choć deklaruje, że jest katolikiem popiera aborcję i klonowanie ludzi - informuje portal LifeSiteNews.com.

- Jesteśmy niezmiernie dumni i zaszczytzeni, że za kilka tygodni będziemy mogli gościć i uhonorować pierwszego afro-amerykańskiego prezydenta Stanów Zjednoczonych - miał powiedzieć, według gazety „South Bend Tribune”, rektor Uniwersytetu Notre Dame o. John Jenkins podczas uroczystości związanej z obchodami 60-lecia uniwersyteckiej sekcji czarnoskórych lekkoatletów.

Rektor wielokrotnie podkreślał, jak bardzo uczelnia jest dumna z tego, że prezydent wybrał właśnie ten uniwersytet a nie żaden inny, by wygłosić mowę okolicznościową związaną z zakończeniem roku akademickiego. Zauważył również, że niepotrzebnie to wydarzenie przyćmi kontrowersje dotyczące niezwykle delikatnych kwestii aborcji i prawa do życia. *- Wierzymy w to, w co wierzymy, ale jednocześnie doceniamy tego niezwykłego przywódcę i tę niezwykłą osobę, która tak dużo osiągnęła - powiedział o. Jenkins.*

Zdaniem rektora, Barack Obama jest jednym z największych „mówców naszych czasów”, który „reprezentuje rzeczywisty przełom w historii kraju”. Z tego powodu uczelnia „będzie szczęśliwa” móc gościć tak „niezwykłego człowieka”.

Z kolei filia prawnicza Uniwersytetu Georgetown - w którego murach już przemawiał Obama, a która zasłynęła ze skandalicznego zasłonięcia katolickiego monogramu IHS, oznaczającego imię Pana Jezusa, co zrobiono na wyraźne żądanie przedstawicieli Białego Domu - zamierza przyznać specjalną nagrodę „Legal Momentum Hero Award” wiceprezydentowi USA John Bidenowi. Temu samemu, który wywołał kontrowersje wraz ze speaker Izby Reprezentantów Nancy Pelosi przyjmując Komunię Św. choć oboje otwarcie opowiadają się za aborcją.

Katolicki komentatorzy są oburzeni, gdyż stanowi to wyraźne naruszenie dyrektywy episkopatu USA z 2004 r., zakazującej uczelniom katolickim honorowania osób głoszących poglądy sprzeczne z tradycyjnym nauczaniem Kościoła katolickiego.

Przypomnijmy tylko, że John Biden w czasie kampanii wyborczej w telewizji NBC powiedział, że popieranie aborcji jest zgodne z przekonaniem katolickimi. Obecny wiceprezydent USA jest współautorem niezwykle krzywdzącej, skrajnie proaborcyjnej ustawy Freedom of Choice Act, popiera badania na

komórkach macierzystych i finansowanie organizacji aborcyjnych takich jak Planned Parenthood. Głosował za zakazem informowania rodziców o aborcji ich dzieci oraz - przeciw zakazowi uśmiercania dzieci w obiektach wojskowych i klonowaniu ludzi.

Patrick Reily, szef Stowarzyszenia Kardynała Newmana, które wystosowało petycję z wyrazami oburzenia w związku z decyzją uniwersytetu Notre Dame, stwierdził, że Uniwersytet Georgetown wydaje się mówić tym samym głosem co Notre Dame, lekceważąc głos biskupów.

Jutrzejsza uroczystość będzie odbywała się pod patronatem pisma „Journal of Gender and the Law and Legal Momentum”, promującego „małżeństwa” osób tej samej płci i tzw. prawa reprodukcyjne kobiet. LifeSiteNews.com, AS

#

„Duża część literatury n/t hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania” nie przedstawia żadnej naukowej wartości. W rzeczywistości roi się w niej od nonsensów, stworzonych codziennie przez biznes Holocaustu. Dziwić się tylko należy dlaczego jest tak mało sceptyków”.

- Norman Finkelstein, „The Holocaust Industry,” pp. 55 & 68

#

„Musicie wiedzieć, że istnieje żydowska kabala, współpracująca wyłącznie z Prezesem Federalnego Banku Rezerw, Arthurem Bernsem i oni komunikują się tylko z Żydami”.

- Richard Nixon, 24 lipca 1971 r.

NA MOIM MAŁYM PODWÓRKU

Na moim małym podwórku - czyli, jak „Holocaust survivor” w katolickiej szkole uczą, a dziatwa słucha.

Historia to jedna z moich pasji. Czytam dużo książek o tej tematyce, a w szczególności różnego rodzaju wspomnienia, pamiętniki, relacje świadków wydarzeń, itp. Zawsze lubiłem wsłuchiwać się w opowiadania moich Rodziców czy ich znajomych o drugiej wojnie światowej. Dwudziestego kwietnia [2009], w poniedziałek wybrałem się do katolickiej szkoły św. Jana Bosko, do której uczęszczają moi synowie na spotkanie z człowiekiem który przeżył w czasie drugiej wojny światowej pobyt w obozie oświęcimskim (Holocaust survivor). Okazało się, że jest nim osiemdziesięcioletni pan Ed Heisler, Żyd słowacki.

Obecne były dwie ósme klasy - ok. pięćdziesięcioro dzieci i cztery nauczycielki. Spotkanie trwało niecałą godzinę. Było ono krótkim wspomnieniem o losach jego i jego licznej rodziny podczas drugiej wojny światowej ze szczególnym rozwinięciem na niecałoroczny pobyt w obozie w Brzezince i - na parę tygodni przed uwolnieniem przez Sowietów - w samym Oświęcimiu. Było więc o warunkach obozowych, wyżywieniu, spaniu, traktowaniu więźniów, eksperymentach medycznych na ludziach, osławionym doktorze Mengele... itp. To wszystko niewątpliwie ciekawe i dla amerykańskiej młodzieży potrzebne. Dla nas, Polaków - dobrze znane, niestety i z autopsji. Zresztą nie o tym chciałem napisać.

Głównym powodem powstania tej relacji jest zdanie pana Heislera wypowiedziane na samym początku jego opowiadania, a które brzmiało: „Państwami, które pomagały Niemcom (w domyśle - w eksterminacji Żydów) były: Słowacja, Węgry, Polska, Ukraina”.

Dalszy ton i sens wypowiedzi był taki, że to „oni”, czyli Słowacy, Węgrzy, Polacy, Ukraińcy byli jeszcze gorszymi od Niemców w traktowaniu Żydów. Chwilę później mieliśmy jeszcze wzmiankę o dobrym SS-manie, który dobrze traktował i dokarmił wtedy piętnastoletniego pana Heislera i jego brata.

Po zakończeniu wypowiedzi zaczęły się pytania. Byłem drugim czy trzecim - a jedynym dorosłym - który zabrał głos. Najpierw pogratulowałem panu Heislerowi tego, że przeżył i jest wśród nas, a potem - wyjaśniając krótko, że jestem Polakiem, moi rodzice przeżyli wojnę, i moje zainteresowanie historią - zadałem pytanie nawiązując do początkowej części jego wypowiedzi: „Dlaczego wśród państw współpracujących z Niemcami wymienił pan Polskę?”

Otrzymałem dosłownie następującą odpowiedź: „Nie wiem, może dlatego, że jestem Żydem”.

Na to ja po prostu powiedziałem, „że jest to nieprawda, że Polska pomagała Niemcom. Polska, jako jedyny kraj w tym regionie nie współpracowała z żadnym z totalitarnych systemów: ani z hitlerowskim, ani z sowieckim. Zapłaciła też za to straszliwą cenę. Przeciwnie, Polska jako państwo, ze swym rządem na uchodźctwie - w przeciwieństwie do innych - zrobiła najwięcej dla ratowania Żydów. Polacy zaś prywatnie, czy w różnych podziemnych organizacjach ratowali Żydów z narażeniem życia”.

Pan Heisler próbował ratować się podając opis zdarzenia, kiedy to już po wyzwoleniu Oświęcimia przez Sowietów udał się z bratem na piechotę w kierunku Krakowa i wieczorem dotarli do jakiegoś miasteczka. Po okazaniu swoich dokumentów burmistrzowi, wskazał im on stodołę, w której mogą się przespaciać oraz dorzucił uwagę, że *“Hitler - jak widać - nie spełnił swojej obietnicy zabicia wszystkich Żydów przed końcem wojny”*.

Widząc brak reakcji z mojej strony pan Heisler wystrzelił więc z większej armaty skierowanej tym razem w Kościół Katolicki mówiąc, że współpracował z Niemcami również biskup krakowski. Spytałem jakiego konkretnie biskupa ma na myśli. Ponieważ mój rozmówca nie potrafił podać nazwiska hierarchy pozwoliłem sobie na kolejny komentarz. Powiedziałem, że w tym czasie arcybiskupem krakowskim był ks. Adam Sapieha, który podczas okupacji był bardzo zaangażowany m.in. w pomoc Żydom i z narażeniem życia własnego i innych interweniował u Hansa Franka, tajnie rozsyłał dzieci żydowskie do klasztorów siostr zakonnych, załatwiał lewe dokumenty... itp.

Rozmowa nasza od początku odbywała się na środku klasy, staliśmy blisko siebie twarzą w twarz, ponieważ pan Heisler niedosłyszał. Na tym skończyłem moje uwagi i lekcja potoczyła się dalej.

Przyznaję, że to zdarzenie zasmuciło mnie.

Smutne, że w szkołach katolickich organizuje się spotkania, na których dochodzi do zakłamań historii i fałszywych oskarżeń. Jak wspomniałem na początku uważam, że spotkania z ludźmi którzy przeżyli drugą wojnę światową [w tym i z ocalałymi Żydami] są z pewnością pożyteczne i potrzebne. Problem w tym, że nie słyszałem, by w tej samej szkole były podobne spotkania np. z amerykańskim kombatanem, który brał udział w wyzwoleniu Europy, czy z katolikiem, który przeżył wojnę np. w Polsce, czy Francji.

Myślę, że dużo - jeśli nie wszystko - wyjaśnia uważne przestudiowanie oficjalnej strony diecezji Phoenix (Arizona). Na jednym z odnośników ("Office of Peace and Justice") - <http://www.catholiccharitiesaz.org/parishResources.aspx> znajdujemy stronę "materiały dla nauczycieli" [Resources for Educators], gdzie dowiadujemy się, z czego i z jakiej pomocy mogą korzystać katolicy (?) nauczyciele. A jest tego dużo. Zachęcam czytelników posługujących się angielskim do uważnego [naprawdę warto!] przestudiowania tego materiału.

Wtedy i na wyżej opisane przeze mnie spotkanie w szkole św. Jana Bosko można już inaczej spojrzeć: to nic innego jak realizacja oficjalnych wytycznych katolickiej diecezji w Phoenix na polu edukacyjnym.

Oto sytuacja posoborowego Kościoła w całej krasie. Nauczyciele dokształceni przez, choćby tak czysto katolickie organizacje jak osławiona ADL, później przekazują tę wiedzę dzieciom.

Tu, na moim małym podwórku, zapytuję samego siebie: czyżby nauczyciele szkoły katolickiej, do której uczęszczają moi synowie byli już też po takim przeszkoleniu?

Jedyne co mnie trochę pociesza to to, że przynajmniej ta mała grupa młodzieży otrzymała tym razem dawkę historii trochę inną od zamierzonej przez polityczną poprawność i może zapamięta to, co mówiłem.

Paweł Bendisz - Phoenix, Arizona (30 kwietnia 2009)
<http://www.jewishhaz.com/issues/story.mv?070413+going>

„PYTAJNIA” PANA PREZYDENTA KACZYŃSKIEGO¹⁾

Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Lech Kaczyński na pytanie o jego narodowość, odpowiedział: „to jest moja prywatna sprawa”. I w tej kwestii różnimy się zasadniczo z Panem Prezydentem. Osoba publiczna jaką jest niewątpliwie Prezydent RP, aspirując do tej godności wyrzekła się całkowicie i po wsze czasy swej prywatności. To czy Prezydent państwa jest chory, czy zdrowy na ciele i umyśle, czy jest pracowity czy leniwy, flegmatyk czy choleryk, komunista czy demokrat, uczony czy matoł, katolik - wyznawca islamu, hinduizmu czy judaizmu a może ateista, dziwkarz i rozpustnik czy asceta, sprzedajny czy uczciwy, człek prawy czy krętacz i oszust, wielkoduszny czy małostkowy, egoista czy altruista. Te i inne cechy prezydenta, mają bezpośredni i decydujący wpływ na podejmowane przezeń decyzje. Nawet odcisk na palcu u lewej nogi Pana Prezydenta, nie jest jego sprawą prywatną, to fakt o znaczeniu państwowym. To nie jakaś nieznaną siłą reżyserowała historię, to cechy osobowości władców, prezydentów, premierów i „szarych eminencji”.

To, jakiej narodowości jest głowa naszego państwa, przynajmniej dla mnie nie jest obojętne. Przynależność narodowa implikuje jednak pewne cechy osobowości człowieka nabyte genetycznie oraz w toku procesu wychowawczego w środowisku funkcjonującym na innych wzorcach kulturowych. Mieliśmy przecież w historii władców innych narodowości i niestety nie wszyscy się sprawdzili z oczywistą szkodą dla narodu polskiego. Ci z nich, którzy chcieli i potrafili się zaasymilować i uznać Rzeczypospolitą za swoją Ojczyznę, zapisali się dobrze w naszej historii (Jagiello, Batory), natomiast Wazowie byli niejednoznaczni a już H. Walezy czy August II – to czarna rozpacz, gorsza niż „smuta”.

Zatem pytanie o to, kto stoi na czele naszego narodowego stada, baran czy wilk, lew czy małpa, ma kapitalne znaczenie dla losu stada. Bowiem jaki przewodnik, taki kierunek dreptania. Więc całą mocą należy pytać: „**kim Ty jesteś Panie Prezydencie?**”.

Mówisz że jesteś Polakiem, co w nowomowie oznacza „nie powiem jakiej jestem narodowości” [Michnik też mówi, że jest Polakiem choć wszyscy wiedzą że pośledniego gatunku]. Istnieją poszlaki na żydowskie

pochodzenie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, co nie wydaje się nieprawdopodobne. Bowiem gdyby był narodowości polskiej, zapewne by tego nie ukrywał i wyraźnie podkreśliłby przynależność do Narodu Polskiego (składającego się wyłącznie z osób, które czują się Polakami i nie wstydzą się tego). Natomiast przynależność do narodowości żydowskiej z jakichś to powodów (myślę że powodów uzasadnionych) jest deklarowana raczej niechętnie czy wręcz ukrywana. Zmiana nazwiska i utajnienie pochodzenia żydowskiego, pomaga w uzyskiwaniu zaufania Polaków, jakie mimo wszystko dla „swego”, jest większe niż do obcoplemieńca i to nie tylko wśród Polaków.

Czy osobnik wywodzący się z innej narodowości (czyt. tradycji kulturowej) może być Polakiem? Myślę że może ale musi spełnić trzy warunki. Po pierwsze, jeśli nasze normy moralne przyjmie za swoje (będzie wiedział, co mu wolno a czego nie, co wypada a co nie wypada, co czynić powinien i jak postępować należy). Po drugie, w konflikcie interesów polskiego i obcego (nawet nacji z której się wywodzi) zawsze stanie po stronie polskiej. I po trzecie, jeśli jest w stanie swój interes osobisty podporządkować interesowi narodowemu.

Oczywiście w każdym narodzie i w naszym także, są osobnicy o zubożałej sferze emocjonalnej, o wykarczowanym poczuciu odrębności narodowej, półmózgowcy i ćwierćmózgowcy ale są oni w pewnym sensie w poczekalni narodowej, jako jeszcze niegodni ale z szansami na zaszczyt bycia Polakiem. Są jakby z boku kategorii „naród”, nie czują się przypisani do niczego, ani do idei, ani miejsca, ani do żadnej wspólnoty, ani rodziców, ani dzieci ani żony, ani do psa, ani kota. Są jak psie łajno przy ścieżce, które każdy może rozdeptać nie zauważając go.

Jak rozpoznać Polaka? Z pewnością nie po mowie [„wieża Babel”], wygląd też bywa zawodny, pozostaje jedynie rozpoznawanie „po owocach”. Sposób raczej niewygodny, bo ocena jest możliwa dopiero „post factum” ale innej pewnej metody nie wynaleziono. Jeśli ktoś deklaruje się jako Polak, musimy zakładać, że spełnia on warunki przynależności do narodu polskiego, czemu nie można zaprzeczyć. Dopiero kiedy w sytuacjach weryfikujących polskość, okazuje się kto tylko udawał Polaka.

A pańska postawa Panie Prezydencie w sprawach polsko-żydowskich, wskazuje że serce ma Pan jednak po stronie żydowskiej a nie polskiej. Czy to Pan w czasie pobytu w Jerozolimie oświadczył że „*Polacy uznają Żydów za lepszych i wybranych.*” Czy to Pan pozwolił sobie nałożyć myckę na łeb i beczkę pod ścianą płaczu? Putin jak na prawdziwego przywódcę dumnego narodu przystało, podczas wizyty w Izraelu odmówił - „jestem chrześcijaninem” oświadczył. A co na to pański chrześcijaństwo?

Czy to Pan brał udział w żydowskich knowaniach przeciw Polakom w Magdalence? Czy to Pan był wiceprzewodniczącym II Solidarności, powołanej przez Żydów dla zmylenia Polaków i nie mającej nic wspólnego z I Solidarnością.

Czy to Pan wspierał budowę Muzeum Historii Żydów Polskich na koszt warszawiaków i wmurowywał akt erekcyjny? Czy to Pan po agresji Izraela na Liban, jako pierwszy w Europie, pojechał solidaryzować się z premierem Olmertem? Czy to Pan, w interesie Izraela utrzymywał okupację Iraku na koszt Polski? Czy to Pan wziął na siebie odpowiedzialność za agresję na Afganistan w interesie Izraela? Czy to Pan wspierał napaść sorosowego watażki Saakaszwilego, na obywateli Gruzji mieszkających w Osetii?

Czy to nie Pan, kontynuował odznaczanie Orderem Orła Białego, każdego Żyda, który choć trochę zaszkodził Polakom (lista odznaczonych przez Pana jest długa, nawet odznaczył Pan dziennikarza z żydowskiej gazety "New York Sun")? A czy to nie Pan spełniał rolę kościelnego Świątyni Salomona, zapalając świece chanukowe w Warszawie?

No i wreszcie - Jedwabne. Kiedy pierwsze wyniki badania pocisków w głowach ofiar, uwalniały Polaków od winy za popełnione tam zbrodnie, to Pan współdziałając z J. T. Grossem przyczynił się do utrwalenia niesłusznej opinii o Polakach, jako antysemitach. Dlaczego Panu zależy na tym, aby Polakom wmówić iż są antysemitami, czy po to by nauczyć ich pokory wobec Żydów?

Tutaj wyraźnie stanął Pan po stronie Żydowskiej, przeciw Polakom. Ten jeden „owoc” wystarczy, aby zasadnym było zadanie Panu pytania o pańską narodowość. Ponadto sama odmowa zadeklarowania swej narodowości już Pana dekonspiruje jako żydowskiego TW (Tajnego Współpracownika).

Polacy na ogół nie ukrywają swej przynależności do narodu polskiego, Pan Prezydent Kaczyński najwyraźniej nie chce ani prawdy wydusić z siebie ani skłamać. Żydzi swoją narodowość z reguły ukrywają (dobry Żyd, to zakonspirowany Żyd - Michnik), stosując wszelkie możliwe metody mimikry (zmiana nazwisk, „tubylcze” imiona, udawany katolicyzm, ubiór odpowiedni do otoczenia itp. działania maskujące).

Być może, Pan Prezydent odczuwa paniczny strach²⁾ przed wymówieniem zakazanego słowa „naród”, użytym w kontekście innym niż „naród wybrany”. Inspirowane przez intelektualistów żydowskich umieszczenie słowa „naród” w indeksie słów wyklętych, zasada się rzekomo na tym, że naród jest podglebiem patriotyzmu i jego wyższej formy – nacjonalizmu. Zaś nacjonalizm niemiecki był sprawcą

holocaustu, więc wyklęcie słowa nacjonalizm wymaga wyklęcia słów „patriotyzm” i „naród”. Sądzą, że w swej naiwności uwierzmy, iż zakaz publicznego wymawiania słowa „naród” spowoduje zanik, kategorii kulturowej jaką jest naród.

Ale przecież nie o to chodzi, że holocaust - zło, że nacjonalizm - be (jakby realizowana koncepcja syjonizmu nie była nacjonalizmem), chodzi o to by po globalizacji nie było innej zorganizowanej siły niezależnej od jakiegoś Sanchedrynu.

Gdy tymczasem nacjonalizm jak każdy inny emocjonalny stosunek do rzeczywistości w swej istocie nie jest niebezpieczny, niebezpieczeństwo tkwi w ludziach, którzy go realizują. Jeśli człek jest plugawy to i jego nacjonalizm będzie plugawy, nosiciel nacjonalizmu jest osobą szlachetną to i jego nacjonalizm będzie szlachetny. Z nacjonalizmem jest jak z siekierą, można ją użyć dla celów pożytecznych, ale można jej także użyć jako narzędzia zbrodni. Skutki użycia siekiery nie zależą więc, od wielkości, kształtu, modelu czy ostrości siekiery, zależą od człowieka który siekierą włada. Historia wspomina o czynach haniebnych popełnianych pod wpływem uczucia miłości do osoby płci przeciwnej. Czy więc z tego powodu należy skazać „na banicję”, słowo „miłość”? Czy dlatego że III Rzesza Niemiecka, wozila Żydów transportem kolejowym do obozów zagłady i dokonywała selekcji na żywych i martwych na rampach. To co? Należy zakazać używania słów „kolej”, „tory”, „rampa”? Gdyby nie było kolei niemieckich, być może holocaust by nie miał miejsca. „Aż dziw bierze”, jak łatwo ludzkość pozwala narzucać sobie niezborne skojarzenia, realizujące ściśle określone cele ukryte pod trzecim dnem.

No cóż, ja oczywiście jestem nacjonalistą polskim, lecz mój nacjonalizm nie potrzebuje ani krwi, ani niewolników, ani ziemi, ani mienia należącego do innych narodów. Mój nacjonalizm nakazuje mi, stawiać interes mojej Ojczyzny, przed interesami innych narodów i państw, jeśli korzyści te nie wynikają z krzywdy innych.

Ale wracając do Pana Prezydenta. Na zakończenie chcę zauważyć że: „kto pyta - nie błądzi, a kto odmawia odpowiedzi - kłamie”. Wokół Pana Prezydenta Kaczyńskiego, nagromadziło się sporo „cuchnących” pytań, bez odpowiedzi z jego strony a to już poddaje w wątpliwość, trafność dokonanego przed pięciu laty, wyboru prezydenta III RP. Augiasz³⁾ nie może być przywódcą narodu. Cezary

Rozwadowski

1. Aluzja do „stajni Augiasza”. STAJNIA AUGIASZA - nie była czyszczona przez ponad 30 lat a jej uprzątnięcie zlecono Heraklesowi, jako jedną z 12 prac, niewykonalnych dla człowieka. Tu aluzja użyta jako miejsce szczególnie zaniedbane, zabrudzone.

2. Paniczny strach - uczucie jakie wzbudzał mieszkaniac mitycznej Arkadii, koźlonogii bożek Pan, gdy się gniewał. Wydawał wówczas krzykiem wzbudzającym lęk i strach. W przerośni oznacza: przerażenie.

3. W mitologii greckiej Augiasz to syn Heliosa, król Elidy na Peloponezie. W wyniku koneksji z bogami, miał najbogatsze na świecie trzody i stada koni. Z jego stajni, obór i owczarni nie wynoszono jednak od wielu lat gnoju i były one źródłem przykrego zapachu. Augiasz za oczyszczenie stajni, przyrzekł Heraklesowi jedną dziesiątą swoich stad, lecz nie dotrzymał umowy. Herakles w zemście podbił Elidę i zabił Augiasza oraz jego synów.

----- CO MA DURNOTA DO URNY WYBORCZEJ?

Wybory do Parlamentu Europejskiego coraz bliżej, tłok na listach kandydatów jak po papier toaletowy w PRL, ponad 10 chętnych do jednej posady europośla. Wydawałoby się, że demokracja cieszy się, ale jak dobrze popatrzeć, to chichocze. No, bo cóż to za sukces demokracji i uznanie decydującej roli wyborców, kiedy ciało zwane Parlamentem Europejskim, ma tyle do powiedzenia w sprawach kierowania UE co rabin za okupacji niemieckiej. PE jest instytucją dobrze opłacaną ale nic nie znaczącą, jest tylko figurą retoryczną, udającą organ władzy. To po pierwsze. Po drugie zdecydowana większość kandydatów, nie ma pojęcia jaka będzie ich rola i co mają tam robić. To po drugie a po trzecie, wyborcy mogą przebierać w kandydatach „jak w ulegalkach” ale w większości nie mają pojęcia po co wysyłają do PE swoich przedstawicieli, więc wybierają często wg kuriozalnych kryteriów. Czyli „po głupiemu”, czego skutki większość z nas odczuwa codziennie.

Demokracja także chichocze z sytuacji Polaków, którzy od dziesięcioleci są źle rządzeni ale w wyborach, wybierają zawsze tych najgorszych. Większość z nas bojkotuje wybory, sądząc że pijawkom przyssanym do władzy i jej okolic, zrobi na złość. To że 80% wyborców pokazało brylującym na politycznym ringu figę albo „gest Kozakiewicza”¹⁾, przyssanym do władzy, „dynda jak kilo kitu na sznurku”, i wzbudza uśmiech politowania nad prostactwem wyborców, rezygnujących z szansy poprawy swego losu.

Prawda jest brutalna. Każdy wyborca, który nie uczestniczy w wyborach, faktycznie oddaje swój głos na PO, PiS, SLD, SDPL, PSL i kolesiów „wujka Bronka”²⁾. Przecież ta sfera bezideowych oszustów tylko czeka na to by Polacy do wyborów nie poszli, oni mogą wybrać się sami. Niby niemrawo apelują o frekwencję wyborczą ale w głębi duszy życzą każdemu Polakowi, połamania nóg w drodze do urny. Przecież „nieogłupiony” wyborca, to dla nich jawne zagrożenie, może zagłosować na „niewłaściwą” listę i wówczas trzeba będzie ryzykować „cuda nad urną”. Więc taki, któremu wydaje się, że w demokracji to on coś znaczy, lepiej niech siedzi w domu i niech mu się wydaje że „dołożył” rządzącym a oni się zawstydzą i poddadzą się reinkarnacji, zmieniając się z kanałii w dobroczyńcę.

Bowiem mimo „radosnych” sondaży, sympatie polityczne wyborców są niewiadomą. Zauważalna niemrawość rządów PO, antypatia do hunwejbiniów J. Kaczyńskiego, pamięć o „sukcesach” lewicy i prostytutka polityczna - PSL, zdaje się zaufania nie zdobywają. Pojawiło się nowe ugrupowanie polityczne „Libertas”³⁾ (polska nazwa byłaby jednak strawniejsza), zbierające pozostałości po LPR oraz „czająca się” w politycznym „cieniu” Samoobrona. Wydaje się, że o. T. Rydzik, bierze rozbrat ze słabnącym PiS-em, co nie jest bez politycznego znaczenia. Żadna z tych sił nie ma pewności sukcesu wyborczego (do PE) a Samoobrona i Libertas, nie są bez szans.

Polacy płci obojga, mimo dzielących Was różnic, **zróbcie psikus**a lwom, tygrysom, sępom, węzom, płazom i insektom politycznym, trzymającym nas „za mordę” od wielu lat, idźcie masowo do wyborów i głosujcie na kogo chcecie, byle nie na PO, PiS, PSL, SLD, SDPL i Demokratów. To prawda - jest jeszcze wariant wyborczy Stalina⁴⁾, ale jego skuteczność zależy od mężów zaufania. A tych miewamy różnych, niektórym nie starcza wytrwałości, by towarzyszyć naszym głosom aż do czasu ich policzenia.

TAK WIĘC, TYLKO DURNY, STRONI OD WYBORCZEJ URNY.

Janusz Koncerz

1. Gest Kozakiewicza - potoczna nazwa obraźliwego gestu, znanego pod wulgarnym określeniem „wał”, który polega na zgięciu jednej ręki w łokciu i skrzyżowaniu jej z drugą. Gest znany od niepamiętnych czasów ale upubliczniony przez polskiego tyczkarza W. Kozakiewicza, który na Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie w 1980 roku, pokazał go dwukrotnie wygwizdującej go radzieckiej publiczności po oddaniu skoku gwarantującego mu złoty medal i rekord świata.

2. Wujek Bronek – B. Geremek, Żyd, polakożerca szef doradców Wałęsy.

3. Libertas - europejskie ugrupowanie polityczne, założone i finansowane przez irlandzkiego milionera Ganley’a. Ugrupowanie to spowodowało odrzucenie Konstytucji UE w referendum w Irlandii. Przez PiS uznane za ugrupowanie konkurencyjne.

4. Reguła Stalina - „nie jest ważne kto głosuje, ważne kto liczy głosy”

----- "5 LAT W ŚWIECIE UNIJNYM"

Obchodzimy właśnie pięć lat od chwili gdy Polska stała się członkiem Unii Europejskiej. Moment ten staje się naturalną okazją do dokonania próby podsumowania korzyści i strat wynikłych z naszego członkostwa w UE.

Zacznijmy najpierw od pewnej uwagi. Chyba nie jesteśmy w błędzie jeśli powiemy, że zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy naszej integracji w 2004 roku nieco inaczej wyobrażali sobie skutki wejścia naszego kraju do tej struktury. Generalnie spodziewano się, że wpływ Unii - w postaci jej interwencji - w nasze polskie sprawy będzie zdecydowanie większy. Różniłiśmy się w ocenach tego spodziewanego wpływu. Była to klasyczna różnica nazewnictwa między rewolucjonistami i konserwatystami. To co ci pierwsi zwa ‘postępem’, ci drudzy nazywają ‘degeneracją’. Konsekwentnie, zwolennicy naszej akcesji - spodziewali się zdecydowanie większego ‘postępu’, a jej przeciwnicy daleko większej ‘degeneracji’. Wszyscy spodziewali się, że stopień interwencji unijnej będzie znacznie większy, a rola tradycyjnego państwa będzie znacznie mniejsza. Prawdopodobnie zresztą właśnie ten element powodował że aż tylu Polaków podchodziło do integracji tak entuzjastycznie. Nie oszukujmy się: masowe poparcie procesu integracji jest - przynajmniej w Polsce - wyrazem braku zaufania dla autochtonicznej klasy politycznej. Panował, i nadal panuje pogląd, że nasza rodzima demokracja pogrążona jest w permanentnym kryzysie, a rodzime elity władzy składają się z samych złodziei i nieudaczników. Bynajmniej zresztą nie twierdzimy, że jest to pogląd całkowicie bezzasadny... W tej sytuacji aprobata dla integracji była niczym innym, jak tylko przekonaniem, że „przyjdzie Niemiec i zaprowadzi porządek”. Zwolennicy rewolucji widzieli w tym ‘postęp’; konserwatyści widzieli w tym ‘degenerację’. W kwestii tej przewidywania obydwu stron nie sprawdziły się. Dlaczego?

Nie, nie dlatego, że ingerencja centralnych organów unijnych jest mniejsza niż się spodziewano. Rzeczywiście, narzucają one Polsce rozmaite standardy i rozwiązania prawne. Ale one w sumie niewiele muszą nam narzucać... Tendencja prawodawcza w Polsce jest praktycznie taka sama jak w ośrodku

brukselskim. Polska w latach 2004-2009 budowała laicką republikę, gdzie panuje socjalna gospodarka rynkowa. Niech nas tu nie zmyli okres 2005-2007 gdy rządy sprawował PiS. Także wtedy, w legislacji, panował dokładnie ten sam model. Jedynie retoryka „IV Rzeczpospolitej” powodowała, że można było odnieść wrażenie, że dzieje się inaczej i Polska występuje przeciwko głównym prądom dominującym w Unii Europejskiej. Dla przeciwników rodzimych - 'kaczym' jawił się jako forma jakiegoś „klero-faszystu”. Jeśli jednak przedrzemy się przez pijar i wielkie hasła, to zobaczymy że legislacja polska w dobie rządów PiS spełniała dokładnie wszystkie ogólnoeuropejskie zasady. To była nadal ta sama laicka republika ze zetatywowaną ekonomiką jaką znamy z modelu zachodniego. O rządach Donalda Tuska w tej kwestii nawet nie ma co wspominać, gdyż nie tylko w praktyce, ale również w teorii i pijarze - są to rządy „przyśpieszonej europeizacji”.

To jest powód dla którego nasza bytność w Unii Europejskiej nie była aż tak głęboko odczuwalna. Bruksela nie musiała nam „skracać smyczy” i zakładać kolczatki za pomocą sieci swoich przepisów czy gróźb obciążenia funduszy unijnych. Nawet ostentacyjnie suwerenicjonistyczny premier Jarosław Kaczyński nie ośmielił się zakwestionować europejskiego dogmatu o abolicji w kwestii kary śmierci; ten sam polityk skapitulował w sprawie Doliny Rospudy na wieść o orzeczeniu wstrzymania prac przez europejskie trybunały. Nawet więc „patriotyczny” reżim pisowski w istocie okazał się bardzo pokorny wobec standardów europejskich.

W sytuacji gdy wszystkie rządzące w Polsce partie polityczne samoczynnie realizują zasady na których opiera się Unia Europejska, ingerencja unijna faktycznie nie jest specjalnie dostrzegalna gdyż „europeizacja” realizowana jest oddolnie. Zależność od struktur unijnych, poczulibyśmy zapewne wtedy, gdybyśmy ośmielili się realizować model państwowy lub ekonomiczny niezależny od zachodniej kliszy, czyli gdybyśmy podważyli laickie dogmaty w zakresie demokracji i praw człowieka, czy też naruszyli socjalną gospodarkę rynkową czy to poprzez radykalną liberalizację ekonomiczną, czy też przez upaństwowienie gospodarki. Polska klasa polityczna nie wydaje się jednak w tej chwili zdolna do jakiegokolwiek samodzielności intelektualnej i politycznej w tym względzie papugując bezrefleksyjnie zachodnie wzorce.

Dopiero po tej uwadze możemy pokusić się o dokonanie próby podsumowania strat i korzyści, które Polska ma na swoim kontynencie po pięciu latach bytności w Unii Europejskiej.

Przed referendum europejskim przekonywano nas, że winniśmy wchodzić do Unii Europejskiej z dwóch zasadniczych powodów: **1/** Ekonomicznych. **2/** Cywilizacyjnych.

Zacznijmy przeto od tych pierwszych. Wejście do wspólnoty miało się nam najzwyczajniej w świecie opłacać. Trudno jest, niestety, dokładnie zweryfikować koszty i zyski, a dane na ten temat nie są łatwo dostępne.

Dlaczego trudno policzyć koszty i straty? Dlatego, że oferowane są nam wyłącznie niektóre dane. Aby nie być gołosłownym: opowiada się nam jakie kwoty Polska może otrzymać z kasy unijnej. Podawane przy tym sumy zapewne są prawdziwe. Problem tylko nie tkwi w tym ile Polska hipotetycznie może uzyskać, lecz ile faktycznie uzyskuje. Unia nie daje lekką ręką pieniędzy na inwestycje, lecz dofinansowuje wybrane projekty. Aby te pieniądze pozyskać trzeba przejść niezwykle restrykcyjne i biurokratyczne procedury i przekopać się przez tony formularzy. A więc pieniądze hipotetyczne i rzeczywiste, to zupełnie inne kwoty. Panie minister z rządów PO i PiS nie przypadkowo zarzucały się ostatnio oskarżeniami (wzajemnie się „prostytuując” - jakby to dosadnie nazwał Janusz Palikot) kto mniej, a kto więcej projektów wcielił w życie. Faktem jest, że Polska przez ostatnie dwa lata pozyskała w praktyce zaledwie ok. 0,3% hipotetycznie przyznanych nam funduszy, a podpisała umowy na wykorzystanie kolejnych 3%. Oczywiście, nie znaczy to, że wykorzystamy do 2015 roku (nawet skromnie ujmując) 3,5% z ogółu przyznanych nam środków. Zapewne będzie to procent wyższy. Ale znaczy to, że gdy słyszymy w TV, że „Unia przyznała nam 2 miliardy euro”, to musimy sobie w pamięci przemnożyć i wyjaśnić: „weźmiemy od Unii 0,6 miliarda euro”. Reszta, niestety przepadnie. Nie wynika to tylko z naszej nieudolności. To także skutek naszej słabości inwestycyjnej, w wyniku czego Unia faktycznie nie ma do czego dopłacać. Jak nie ma inwestycji polskiej, to nie ma i dopłaty. Podobno nadciąga kryzys, a to znaczy, że nasze inwestycje będą jeszcze mniejsze. Pamiętajmy zresztą że nawet Niemcy nie wykorzystują 100% potencjalnych kwot. Gdzieś czytałem, że tylko ok. 70%.

W tym samym czasie Polska wpłaca co rok ok. 3,5 miliarda euro do kasy unijnej. Pojawia się tu pytanie, czy realne kwoty wpłacane przez Polskę przypadkiem... nie są nawet większe niż sumy pozyskane? Tak twierdzi m.in. w swoim zapytaniu poselskim Bogusław Kowalski w dniu 15 IV 2009. Wspominała o tym coś niecoś także prasa - ale jakby półgębkiem.

Do tego doliczyć trzeba - pomijane w rachunkach - koszty ukryte. Moi koledzy radni i posłowie twierdzą, że dotacje unijne są jedną z przyczyn niemożności redukcji biurokracji w Polsce gdyż

projektowanie, pozyskiwanie i realizacja projektów dofinansowywanych przez Unię Europejską wymaga zatrudnienia licznych personelu. Przy wyliczaniu ekonomicznych zysków i strat trzeba doliczyć ileś tam tysięcy etatów rozmaitych pań Hanulek i Beatek, którym trzeba zapłacić pensję, opłacić ZUS, a których - gdyby nie dotacje unijne - w ogóle by nie było. Nie są mi znane liczby obrazujące te ukryte koszty pozyskiwania funduszy unijnych, a są one niemałe.

Sprawę finansowych zysków i strat trudno jest w tej chwili jednoznacznie osądzić. Będziemy to mogli zrobić dopiero w roku 2015, gdy skończy się okres na wykorzystanie modernizacyjnych dotacji unijnych. W tej chwili jesteśmy in minus i jest to fakt nie zaprzeczalny.

(Autor tego tekstu w referendum w 2004 roku głosował na NIE. Nie kierowały wtedy nami ani przesłanki ekonomiczne, ani względy nacjonalistyczne, lecz przede wszystkim kulturowe. Nie mamy bowiem wątpliwości, że Unia Europejska stanowi „projekt cywilizacyjny” [Donald Tusk]).

Także w tym względzie nie ma prawie bezpośredniego nacisku ze strony Unii Europejskiej, gdyż tematykę tolerancji dla rozmaitych dewiantów, feminizm i ideologię wszechogarniającą „emancypacji” z powodzeniem realizują ośrodki autochtoniczne. Przez lata prym wiodła tu oczywiście „Gazeta Wyborcza”, dziś, po kompromitacji środowiska Unii Wolności, zdystansowana w tym względzie przez koncern TVN, poświęcający swoją energię na tropienie rozmaitych form politycznej niepoprawności w rodzaju „homofobii” czy „nietolerancji”, czyli zachowań, które w tradycyjnej kulturze traktowano jako normalne i zgodne z Bożymi przykazaniem.

W pewnym sensie możemy więc powiedzieć, że przez ostatnie pięć lat kompletnie nic się nie stało. Unia Europejska ma charakter niezwykle zachowawczy i „konserwatywny” w tym znaczeniu, że pracownicy konserwuje model kulturowy, polityczny i ekonomiczny stworzony w okresie powojennym przez zachodnioeuropejskie partie centrowe i lewicowe wywodzące się z tradycji Rewolucji Francuskiej. W Polsce ten świat ideowy reprezentuje oligarchia czterech zasiadających w Sejmie partii systemowych.

I to jest właśnie nasz podstawowy zarzut wobec Unii Europejskiej i punkt krytyki dla naszego członkostwa w tej strukturze przez ostatnich pięć lat. Nie mamy bowiem wątpliwości, że Polska potrzebuje radykalnych zmian na polu kultury, polityki i ekonomii, które moglibyśmy ogólnie nazwać „prawicową wizją świata”. Nasze członkostwo w Unii Europejskiej zmiany takie uniemożliwia. Po pierwsze dlatego, że dodaje wigoru zasadom na którym zbudowano Państwo Polskie w Magdalence i przy Okrągłym Stole. Doszło wówczas do swoistej umowy społecznej między ludźmi PZPR i ludźmi [wybranymi - TK] „Solidarności”, na podstawie której zbudowano III RP, gdzie nic nie jest prawdą i nic nie jest fałszem; gdzie szanuje się Kościół i daje głos antyklerykałom; gdzie propaguje się kapitalizm, a buduje socjalizm. Po drugie, dlatego, że gdybyśmy się zdobyli na rzeczywistą zmianę (a nie na pijarowskie wygłupy o IV RP czy „drugiej Irlandii”), to należałoby się spodziewać solidnej unijnej interwencji w nasze wewnętrzne sprawy.

Unia Europejska w stosunku do Polski lat 2004-2009 była i jest nijaka. A to dlatego, że nasza klasa polityczna nie umie stworzyć żadnego poważnego projektu cywilizacyjnego, który stawałby w poprzek gazetowo-telewizyjnym sloganom o „demokracji” i „nowoczesności”.

Adam Wielomski - konserwatyzm.pl

BURDEL, CZY ZDRADA?

W kolejną rocznicę uchwalenia konstytucji 3 maja, na Placu Piłsudskiego [„na Placu Piłsudskiego trębacze w trąby dmą; tam wódz państwa polskiego przegląda armię swą”] odbyła się defilada wojskowa przed Grobem Nieznanego Żołnierza, obok którego trybunę honorową ustawili sobie również - aktualni mężowie stanu. Takie widowiska mają stworzyć wrażenie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, bo wprawdzie cywilbanda coraz bardziej się bałwani, ale za to przynajmniej armia czuwa. Niestety w armii jest chyba jeszcze gorzej niż w środowisku głupich cywilów. Taki w każdym razie wniosek wynika z artykułu komandora Artura Bilskiego „Polska armia na posyłki”, opublikowanego 27 kwietnia w „Rzeczpospolitej”. Pan komandor Bilski twierdzi, że armia nasza wcale nie czuwa, przeciwnie - że znajduje się w stanie daleko posuniętego rozkładu i to od samej góry do samego dołu. Sama góra biurokratyzuje się na potęgę, tworząc rozmaite „dowództwa”, przygotowujące się do bitew na segregatory, których przybywa w postępie geometrycznym, podczas gdy na dole wszystkiego zaczyna brakować, i nawet nie było za co ściągnąć 400 żołnierzy wraz ze sprzętem z Czadu do Polski, wobec czego minister Klich wpadł na pomysł, żeby ten sprzęt sprzedać ONZ-owi i w ten sposób wybrnąć z kłopotu.

Nie da się ukryć, że dobrze to nie wygląda, zwłaszcza, że pan komandor Bilski sugeruje, iż to wszystko dlatego, że Polska postawiła na opcję amerykańską. Amerykanie zaś, w odróżnieniu od, dajmy na to, armii izraelskiej, armię polską mają w du...żym poważaniu. Owszem - potrzebują tu i ówdzie polskich askarisów, ale ani Polski, ani tym bardziej - askarisów nie traktują serio. W tej sytuacji - chociaż

pan komandor Bilski wyraźnie tego nie formułuje - jedynym wyjściem z sytuacji jest machnięcie ręką na Amerykanów i rzucenie się w objęcia niemieckie - bo tak właśnie rozumiem postulat „*mocnego zakotwiczenia się w Unii Europejskiej*”. Armia amerykańska bronić nas nie będzie - to jasne. Za to Bundeswehra - aaa, ona, to aż do ostatniej kropli krwi!

O ile diagnoza rozkładu armii nie budzi żadnych wątpliwości, o tyle jej przyczyny i zaproponowane remedium, wydają się co najmniej dyskusyjne. Przede wszystkim należy postawić pytanie, czy rozbrajanie państwa polskiego jest efektem nieudolności i bałaganu, czy też owa nieudolność i bałagan jest jedynie kamuflażem systematycznych działań intencjonalnych. Krótko mówiąc, czy to burdel, czy zdrada? Jestem przekonany, że mamy do czynienia ze zdradą. Będąca od drugiej połowy lat 80-tych absolutnym politycznym hegemonem na polskiej politycznej scenie wojskowa razwiedka, przy pomocy swojej agentury i garści pożytecznych idiotów przygotowała i przeprowadziła sławną transformację ustrojową, której przewodnią myślą było zagadnienie, jak najkorzystniej rozkraść polskie państwo i znaleźć kogoś, kto złodziejom zapewniłby potem bezpieczeństwo. Stąd też rozmaite „orientacje” - od amerykańskiej, poprzez izraelską, do niemieckiej - o rosyjskiej nawet nie wspominając. Krótko mówiąc - kto gdzie się przewerbował, taką „opcję” próbuje forsować. Jednak - co trzeba podkreślić - żadna z tych „opcji” nie kieruje się polskim interesem państwowym, tylko stanowi próbę wkomponowania interesu przewerbowanych agentów w interes państwa, któremu odtąd służą, kosztem interesów polskich.

Dlatego właśnie sugestia pana komandora Bilskiego, jakoby rozkład naszej armii był następstwem „opcji amerykańskiej” wydaje się na pierwszy rzut oka taka wiarygodna. Amerykanom rzeczywiście było znacznie wygodniej traktować Polskę nie jako kraj partnerski, tylko jako kraj podbity i politykować tutaj przy pomocy swojej agentury. Agentura musi być oczywiście wynagradzana i np. w roku 2004 Amerykanie rozprawdzili nagrody za pośrednictwem konsorcjum NOUR z którym związana była również polska, można powiedzieć - chałupnicza, ale widać dobrze ustosunkowana firemka Ostrowski Arms. A ponieważ, na domiar złego, prezydentowi Kwaśniewskiemu roilo się po nocach, że po zakończeniu tubylczej prezydentury zostanie sekretarzem generalnym ONZ a w ostateczności - sekretarzem generalnym NATO, nawet nie ośmielił się zająknąć żeby na przykład załatwić z Amerykanami militarną konwersję polskiego długu zagranicznego. Oczywiście sami Amerykanie z tego rodzaju ofertami nie występowali, bo prezydent Bush nie był prezydentem Polski, tylko USA, które - jeśli mogą mieć polskich askarisów za darmo, albo w najgorszym razie, za uczynioną tubylczemu filutowi nadzieję, że wystrugają z niego I sekretarza ONZ - to im w to graj! I dlatego wolą politykować z agentami, a jeśli dla pozorów potrzebny jest jakiś cywil, to forsują głupszego. Tymczasem taka Turcja już sobie na takie traktowanie nie pozwala i zawsze dobrze na tym wychodzi. No ale w Turcji obcych agentów bez ceregieli biorą na powróż, podczas gdy u nas, to właśnie oni stanowią sól ziemi czarnej.

Zatem - nie tyle „opcja” jest winna, tylko rządy agentów, a to już nasz problem, a nie amerykański. Z kolei mówiąc o „*mocnym zakotwiczeniu się w Unii Europejskiej*” trzeba pamiętać że jej polityczny kierownik pozostaje w strategicznym partnerstwie z Rosją i że partnerstwo to znakomicie przetrzymało wszystkie próby niszczące - i gruzińską i gazową, więc na długo pozostanie fundamentem unijnej polityki europejskiej. Warto w związku z tym przypomnieć, że jeszcze w końcówce lat 80-tych minister spraw zagranicznych ZSRR Szewardnadze postawił warunek zgody na zjednoczenie Niemiec - że między zjednoczonymi Niemcami a Związkiem Radzieckim - czyli obecnie Rosją - zostanie utworzona strefa buforowa. Strefa buforowa - a więc obszar rozbrojony. I Rzeczpospolita Polska posłusznie wychodzi naprzeciw temu oczekiwaniu - co proponowanemu przez pana komandora Bilskiego remedium w postaci „*mocnego zakotwiczenia się w Unii Europejskiej*” nadaje, zapewne niezamierzony, charakter komiczny.

Stanisław Michalkiewicz - www.michalkiewicz.pl

ZAPIS RABOWANIA POLSKI

CZEŚĆ III

Poniżej przedostatni odcinek relacji z niszczenia gospodarki polskiej przez ekipy rządzące Polską od 1989 r. W artykule tym korzystam z danych zawartych w artykule dr Ryszarda Ślązaka „Powikłana prywatyzacja” zamieszczonym w nr 1/10 2009 dwumiesięcznika „Realia”.

Apogeum wyprzedaży

31.10.1997 r. rządy w Polsce objęła koalicja AWS-UW. Na czele gabinetu stanął Jerzy Buzek (AWS), ale kluczowe resorty gospodarcze (i nie tylko) objęli bądź funkcjonariusze UW, bądź ludzie z AWS, których poglądy na gospodarkę (a raczej wykańczanie polskiej gospodarki) mieli tożsame z partią Bronisława Geremka. Tak więc wicepremierem i jednocześnie ministrem finansów został Leszek Balcerowicz - w gabinecie Tadeusza Mazowieckiego pogromca przedsiębiorstw państwowych. Urząd ten pełnił do czerwca 2001 r., kiedy to UW - ku rozpaczy Mariana Krzaklewskiego opuściła koalicję. Był on faktycznym

dyktatorem gospodarki. W procederze wyprzedaży majątku narodowego zaciekle pomagał mu minister skarbu państwa Emil Wąsacz AWS, zdymisjonowany dopiero 16.08.2000 r., na cztery miesiące zastąpiony przez Andrzeja Chronowskiego a od 28.02.2001 r. funkcję tę objęła Aldona Kamela-Sowińska. Zapewniała ona publicznie, że do końca kadencji rządu nie pozostanie w Polsce ani jeden zakład państwowy. Wprawdzie zapowiedzi nie spełniła, ale starała się bardzo usilnie. W każdym razie rządy Buzka stanowią apogeum wyprzedaży (z reguły za bezcen) majątku narodowego, zaś rok 2000 jej szczyt.

W roku 1999 majątek Skarbu Państwa (w tym państwowe zasoby własności rolnej) wyceniono na 159 mld zł (ok. 41 mld USD). Wartość samych przedsiębiorstw i banków państwowych i jednoosobowych spółek Skarbu Państwa oraz udziałów i akcji państwa w różnych podmiotach gospodarczych wynosiła ok. 137 mld zł (ok. 35 mld USD). Przyjęto wtedy [teoretycznie], że część majątku państwowego służąca zadaniom publicznym nie będzie prywatyzowana. Jego wartość oszacowano na ok. 21 mld złotych.

Tylko w roku 2000 „sprywatyzowano” poprzez sprzedaż: Polski Koncern Naftowy S.A, Telekomunikacje Polska S.A, Bank Handlowy w Warszawie S.A, Bank PBK S.A., Bank Pekao S.A, Orbis S.A. Nadto rozpoczęto przygotowania do prywatyzacji głównych sektorów gospodarki: energetyki, hutnictwa, cukrownictwa, górnictwa węgla kamiennego, a nawet przemysłu obronnego. Forsowano też przyspieszenie prywatyzacji bezpośredniej, czyli sprzedaży całkowitej. W tym samym roku rozpoczęto sprzedaż 9 spółek w ramach prywatyzacji pośredniej, tzw. kapitałowej, czyli udziałów i akcji w spółkach Skarbu Państwa wcześniej powstałych w ramach komercjalizacji. W grupie tych 9 spółek były: Zespół Elektrociepłowni Wrocławskich Kongeneracja S.A, Elektrociepłownie Warszawskie S.A, Polskie Linie Lotnicze LOT SA, Elektrociepłownia im. T Kościuszki S.A, Zakłady Farmaceutyczne Polfarma S.A, Szczecińskie Zakłady Nawozów Fosforowych „Superfosfat” S.A, Kieleckie Zakłady Przemysłu Wapienniczego S.A, Zakłady Gipsowe Dolina Nidy oraz Opoczno S.A. W 3 innych spółkach nastąpiła warunkowa sprzedaż akcji tj. w Elektrociepłowni Wybrzeże S.A, w Górnośląskim Zakładzie Energetycznym S.A i w Śląskiej Spółce Cukrowej S.A.

Minister Skarbu sprzedawał też udziały i akcje 24 spółek Skarbu Państwa oraz rozpoczął sprzedaż akcji i udziałów w 80 nowych spółkach, w 32 wznowił sprzedaż akcji i udziałów, jak również wznowił procesy upadłościowe. W 2000 roku całkowicie sprywatyzowano 35 spółek i w 12 rozpoczęto sprzedaż. Z niepełnych danych wynika, że podczas 20 lat prywatyzacji wpływy finansowe wyniosły zaledwie 94,54 mld zł, w tym ze sprzedaży banków 22,52 mld zł. Ryszard Ślęzak pisze: „W żadnych materiałach sejmowych nie można było znaleźć danych o wpływach dewizowych z tej prywatyzacji, o dokonanych wpłatach dewizowych z zagranicy za nabywany zakład czy za nabywane akcje lub udziały. Nie ma też wykazu sprywatyzowanych czy przekształconych w spółki zakładów, komu zostały sprzedane, jakie uzyskano za nie należności, czy były wpłaty dewizowe za ich nabycie przesyłane z zagranicy oraz jakie poniesiono koszty w trakcie sprzedaży czy przekształcania danego zakładu”.

Ziemia i grunty pod młotek

Na początku przekształceń własnościowych w rękach państwa znajdowało się 3.352.631 ha ziemi, z czego większość przeznaczono do sprzedaży, względnie do dzierżawy - często nawet na okres ponad 20 lat. Dotąd sprzedano 1,8 mln ha gruntów. W 2003 r. na podstawie 150 tys umów wydzierżawiono 2,4 mln ha gruntów, tj. około 70 proc. ówczesnego zasobu, a obecnie wydzierżawionych jest 1,8 mln ha. W zasobach państwowych pozostało jeszcze 1,1 mln ha. Obecnie porządkuje się ewidencję gruntów znajdujących się w dyspozycji wojewodów i starostów gospodarujących gruntami Skarbu Państwa. Inne grunty, jako samorządowe, pozostają w dyspozycji wójta, starosty i marszałka województwa.

Grunty i ziemia niedzierżawiona i niesprzedana oraz położona wewnątrz aglomeracji miejskich, czy w nieistniejących już okręgach przemysłowych, stanowi przedmiot usilnych zabiegów spekulantów, głównie zagranicznych, w celu ich odrolnienia. Odrolnienie ma objąć grunty bez względu na klasę ziemi, choć powinno obejmować tylko grunty klasy V i VI, jako niemal nieużytki rolne. Dr Ślęzak zauważa: „Powtarza się sytuacja z okresu panowania ziemskiej doktryny przeniesionej ze Związku Sowieckiego, że ziemia nie była czynnikiem ekonomicznym, nie miała w ogóle ceny. Według tej zasady rozwój przestrzenny Warszawy pchano na żyzne tereny rolnicze Służewca i Ursynowa, zamiast na piaski Młocin czy w kierunku Otwockim”.

Brak ustalenia ceny gruntów w okresie intensywnej prywatyzacji od początku lat dziewięćdziesiątych spowodował, że wielu prywatnych nabywców zakładów państwowych, natychmiast dzieliło je na mniejsze działki i wносиło aportem po parokrotnie wyższej cenie do innych nowo powstałych podmiotów czy nawet zbywało. Usługi doradcze, opiniodawcze dokonywały firmy czy nowo tworzone obce spółki, które kapitał zdobywały dopiero realizując zamówienia na tzw. doradztwo. Zyski pochodzące z tych zamówień transferowano, po zamianie krajowych środków płatniczych na waluty obce zagranicę.

Wzrost zainteresowania wszelkiego rodzaju gruntami wystąpił głównie w okresie przygotowawczym do naszego członkostwa w Unii Europejskiej. Rozparcelowywano grunty kółek rolniczych oraz państwowych gospodarstw rolnych po ich likwidacji. Z drugiej strony - reprivatyzację i zwrot ziemi przedwojennym właścicielom przewlekano w nieskończoność, aby nie reaktywować historycznej warstwy ziemian.

Narodziny nowej oligarchii

Tzw. prywatyzacja służyła dwóm grupom beneficjentów. Pierwszą stanowiły firmy i koncerny zagraniczne, które nabywały nie tylko poszczególne zakłady, ale całe branże i rynki zbytu po cenach śmiesznie niskich. Przejmowały one polskie podmioty gospodarcze, a następnie likwidowały - bądź uruchamiały produkcję półfabrykatów - stanowiących uzupełnienie produkcji zakładów umieszczonych w krajach macierzystych. O kulisach tej prywatyzacji oraz branych przy tej okazji łapówkach znakomicie pisał kilka lat temu prof. Kazimierz Poznański w dwóch książkach, „Wielki przekręt” i „Obłęd reform”.

Druga grupa, to „rodzime elity” polityczne, które podjęły samouwłaszczenie, zapominając o obowiązku wyrównania krzywd pokoleniu które odbudowywało Polskę ze zniszczeń wojennych i zostało pozbawione jakiegokolwiek własności. A jest to pokolenie odchodzące.

Dr Ślęzak tak komentuje ten proces: „Naiwna, liberalna wiara w samoregulującą się gospodarkę rynkową i preferencje wobec cudzoziemskiej sprawiły, że majątek narodowy przechodził w obce ręce a nie w ręce własnych pracowitych obywateli, zwłaszcza indywidualnych rolników, którzy powinni nabyć na paroletnich warunkach kredytowych większość gruntów rolnych, jakimi państwo dysponowało od momentu przemian. Łatwość nabywania od państwa ziemi rolnej nawet na długoletnie dzierżawy czy też gruntów po zakładowych, spowodowała szybkie własnościowe rozwarstwienie się społeczeństwa, co sprzyjało powstawaniu nowej klasy posiadaczy i nowych już regionalnych struktur oligarchicznych, nawet oligarchii rolnej. Aktywność w pozyskiwaniu ziemi od państwa przejawiała głównie te siły, które dysponowały wiedzą i przygotowywały się pod przyszłe uzyskiwanie korzyści z unijno-narodowych dopłat okresu członkowskiego. Te przyszłe zapoczątkowane w roku 2004 narodowo-unijne dopłaty powierzchniowe do gruntów rolnych, utrwaliły podział struktury w rolnictwie, na większościową liczebnie drobnicę gospodarstw do 20 ha stanowiącą około 76 proc. ogółu gospodarstw rolnych i drugą część oligarchiczną od 300 ha aż do 12.400 ha stanowiącą ok. 20 proc. obszaru rolnego”.

Nowi władcy Państwa Polskiego nie zapomnieli również o pomocy dla nabywców naszego majątku narodowego w sektorach pozarolniczych. Przejawiała się ona w zwolnieniach podatkowych sięgających nawet 10 lat. Była to innego rodzaju dotacja i to dla firm cudzoziemskich. Inną formą dotacji były kredyty preferencyjne oraz pomoc uzyskiwana z funduszy przedakcesyjnych rozdzielanych przez państwo. Trzeba też pamiętać o dopłatach powierzchniowych dla rolnictwa, już w niemałym stopniu opanowanym przez zagranicznych właścicieli. Wreszcie, po aneksji Polski do UE, obcy kapitał w rolnictwie czy w innych dziedzinach gospodarki korzysta z najprzeróżniejszych funduszy unijnych, skorzystanie z których jest uwarunkowane udziałem budżetu państwa w granicach 25-50 proc.

CDN

Zbigniew Lipiński, Myśl Polska Nr 14

"PIERWSZA KADROWA" PRL

Gdzie i kiedy narodziła się Polska Ludowa? Przez kilkadziesiąt lat komuniści twierdzili, że w Chełmie Lubelskim 22 lipca 1944 r., gdzie miał zostać ogłoszony Manifest PKWN. Dziś wiemy, że Manifest powstał w Moskwie, podobnie jak sam PKWN. Ale o tym, kto będzie rządził Polską, zdecydowano rok wcześniej w Sielcach nad Oką. Warto zacząć ten tekst od zaznaczonego na końcu fragmentu

66 lat temu, 15 lipca 1943 r., w rocznicę zwycięstwa grunwaldzkiego, zorganizowano w Sielcach uroczystą przysięgę 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Formowanie tej jednostki rozpoczęto dwa miesiące wcześniej, zaraz po tym jak władze sowieckie zerwały stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie, do czego doszło na tle ujawnienia zbrodni katyńskiej. 1 Dywizja była zatem jednostką nie mającą nic wspólnego z legalnymi władzami RP, a w sensie polityczno-propagandowym wymierzona przeciwko nim. Wyznaczony przez Stalina na jej dowódcę Zygmunt Berling, przedwojenny podpułkownik (stopień generalski otrzymał dopiero w sierpniu 1943 r. od rządu sowieckiego), wcześniej zdezerterował z armii gen. Andersa i po jej ewakuacji na Bliski Wschód pozostał w ZSRR. Faktycznie był więc narzędziem NKWD, lecz na tamte wydarzenia trzeba też patrzeć w aspekcie humanitarnym: wojsko Berlinga było jedyną szansą wyrwania się z sowieckiej niewoli dla tysięcy Polaków, którzy spóźnili się do Andersa.

Tysiące ocalałych z łagrów żołnierzy, którzy przez następne dwa lata bohatersko przeszli szlak bojowy od Lenino do Berlina to tylko jedna strona dziejów 1 Dywizji rozwiniętej później do korpusu i armii. Druga strona miała mniej bohaterskie oblicze, o którym dziś mało się pamięta. To aparat polityczno-

wychowawczy, czyli - mówiąc z rosyjska - politrucy. Gen. Berling wspominał po latach: Instytucja oficerów oświatowych, a później polityczno-wychowawczych - w tej formie, jaka istniała w 1 Dywizji - była w przedwojennym wojsku nieznana. Tu stała się nieodzownie potrzebna. Ustanawiając ją, wzorowaliśmy się wprawdzie na organizacji aparatu politycznego w Armii Czerwonej, ale jej zadania różniły się od jej zadań dość zasadniczo jak również różne były przyczyny ich powstania. Nie trzeba też zapominać, że aparat polityczny Armii Czerwonej był ramieniem WKP[b] w wojsku i składał się wyłącznie z członków partii, podczas gdy nasz personel oświatowy zawierał początkowo trzy czwarte, a później nawet do czterech piątych bezpartyjnych, i służył idei walki o wyzwolenie narodu z kajdan niewoli, o wolność i niepodległość naszego kraju oraz o nowe jutro naszego bytu państwowego.

Staliśmy przed koniecznością przekonania masy żołnierskiej o wielkości idei, o słuszności naszej drogi, które wynikały z naszych polskich patriotycznych pobudek. Tego bardzo trudnego zadania, wychowania na nowo żołnierza, mógł dokonać tylko oficer - Polak, dowódca o określonych kwalifikacjach.

Kwalifikacji tych nie posiadała nasza podstawowa kadra dowódcza, złożona z oficerów Armii Czerwonej, a zatem musiał je wykonać - na każdym szczeblu dowodzenia, od plutonu począwszy - zastępca dowódcy, oficer oświatowy wychowany w kraju nad Wisłą (Z. Berling, "Wspomnienia", t. II, "Przeciw 17 Republice", Warszawa 1991, s. 123).

Dalej dowódca 1 Dywizji przyznaje, że oficerów oświatowych dobierano z pominięciem kwalifikacji wojskowych kandydata. Znaleźli się tu więc stuprocentowi cywile i tylko niewielki procent z nich przechodził wyszkolenie wojskowe, a jeszcze mniejsza grupa, posiadała stopnie podoficerskie (tamże, s. 124). Przeprowadzano więc przyspieszone trzymiesięczne kursy, po których cywilni politrucy stawali się oficerami. Za tę akcję odpowiedzialny był zastępca Berlinga ds polityczno-wychowawczych Włodzimierz Sokorski, przedwojenny działacz komunistyczny, który jednak - w przeciwieństwie do większości towarzyszy - walczył w kampanii wrześniowej, a po 1941 r. był oficerem Armii Czerwonej, gdzie dosłużył się stopnia majora.

Komuniści jawni i tajni

Jeden z pierwszych dywizyjnych politruków, Marian Naszkowski, wiele lat później przyznawał, że szeregowi żołnierze początkowo nam nie ufali. W rozmowach często objawiali to spojrzeniem skierowanym na ziemię, byle nie patrzeć na oficera oświatowego (L. Kowalski, "Generałowie", Wa-wa 1992, s. 213). Nie powinno to dziwić, zważywszy na propagandę, jaką faszzerował ich aparat polityczno-wychowawczy. Drastycznym przykładem tej propagandy jest dokument z 1944 r., zatytułowany "Śladem zbrodni niemieckich (Katyń - Zamek - Majdanek)". Zawiera on wytyczne Zarządu Polityczno-Wychowawczego 1 Armii Polskiej, jak wyjaśniać żołnierzom m.in. zbrodnię katyńską: „*Niemcy wiedzieli, że na podstawie umowy gen. Sikorskiego z rządem radzieckim, w ZSRR ma powstać Armia Polska. W obozach jeńców Armia ta mogła znaleźć gotowe wyszkolone kadry oficerskie. Dlatego zaraz po opanowaniu obozów jeńców polskich w Ostaszkowie i Kozielsku, jesienią 1941, Niemcy rozpoczęły tępienie oficerów polskich. Wszystkich pogrzebano w olbrzymich wspólnych mogiłach w lesie katyńskim*” (cyt. za: I. Blum, "Z dziejów aparatu politycznego Wojska Polskiego. Szkice i dokumenty", Wa-wa 1957, s. 162).

Nieufność szeregowych żołnierzy wobec politruków z pewnością wynikała także z odmiennych doświadczeń ostatnich lat: ci pierwsi przeżyli zsyłki i łagry, drudzy zaś w dużej mierze czuli się bardziej komunistami i obywatelami sowieckimi niż ludźmi pochodzącymi z Polski. Jeden z takich politruków, Leszek Krzemień, w swoich wspomnieniach próbował minimalizować rolę przedwojennych komunistów: *Oficerów oświatowych w I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki było stu sześćdziesięciu ośmiu, w tym byłych członków KPP i KZMP sześćdziesięciu ośmiu, czyli znikoma garstka wobec czternastotysięcznego stanu osobowego. Wśród podoficerów oświatowych procent komunistów był jeszcze mniejszy* (L. Krzemień, "Czas wojny", Wa-wa 1980, s. 153).

Co więcej, autor tej opinii podkreślał, że komuniści świadomie dążyli do wciągnięcia w pracę polityczną nie tylko najbliższych im ze względu na poglądy demokratyczne socjalistów i ludowców, ale nawet piłsudczyków, chadeków i narodowców, jeśli ich patriotyzm rokował nadzieję na ewolucję ich poglądów. Jak naprawdę wyglądał ów polityczny pluralizm wśród politruków, pokazuje - opisany przez komunistę Juliusza Hibnera - przykład kapitana Stanisława Wancerza: *On był ludowcem, ale takim lipnym ludowcem bo faktycznie należał do KZMP* (B. Puchalska-Hibner, "Życie niepokorne", Wa-wa 2000 s. 53). Tak więc rolę ludowca odgrywał działacz przedwojennej młodzieżówki komunistycznej, co do złudzenia przypominało sytuację w utworzonej przez PPR Krajowej Radzie Narodowej, a później w PKWN oraz kolejnych rządach i sejmach PRL.

Vademecum władzy w PRL

Jednak Krzemień ma rację, stwierdzając dalej, że przytłaczająca większość aparatu oświatowego stała się wierna, bojową kadrą obrońców i budowniczych Polski Ludowej. Aby się o tym przekonać, warto zapoznać się z Wykazem oficerów oświatowych 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, opracowanym na podstawie rozkazu personalnego z 22 sierpnia 1943 r. Niestety, dokument ten opublikowano tylko raz, w cytowanej już książce I. Bluma z 1957 r., stanowiącej dziś bibliofilski rarytas. Tymczasem ten liczący prawie 200 nazwisk spis politruków powinno się przypominać, gdyż jest on - jak zauważa prof. Paweł Wieczorkiewicz - prawdziwym vademecum władzy w PRL, zwłaszcza do roku 1956, traktowani bowiem jako grupa najwyższego zaufania, zajmowali w strukturach władzy pozycje uprzywilejowaną, podobnie jak po zamachu majowym legionistów z I Brygady (P. Wieczorkiewicz, "Historia polityczna Polski 1935-1945", Wa-wa 2005, s. 369).

Mamy na tej liście kilkunastu przyszłych generałów, choć ich doświadczenie wojskowe było najczęściej zerowe lub minimalne. Charakterystyczny przykład opisał Leszek Krzemień: *Do obozu sieleckiego przybyłem w pierwszych dniach czerwca 1943 roku. Od razu natknąłem się na wielu znajomych. Ledwo wszedłem do personalnego, by zameldować swój przyjazd, spotkałem Stacha Zawadzkiego, warszawskiego tramwajarza, działacza KPP, organizatora wielu walk czołowego oddziału proletariatu stolicy. Tenże robociarz, przywdziawszy mundur oficera, nie zmienił swego sposobu bycia, nie rozstał się też z charakterystyczną gwarą warszawską i był nadal bezpośredni w obejściu. Każdy żołnierz od razu wyczuwał w nim "swojego chłopca"* [L.Krzemień, cyt., s. 146]. Dodajmy, że Stanisław Zawadzki już w grudniu 1945 r. otrzymał stopień generalski, po czym przez kilka lat kierował departamentem personalnym MON, następnie zaś był I sekretarzem Komitetu Warszawskiego PPR i PZPR oraz wiceministrem i ministrem pracy i opieki społecznej.

Poczet czerwonych generałów

Jeszcze bardziej błyskotliwa była kariera Aleksandra Zawadzkiego: gdy we wrześniu 1943 r. rozpoczął służbę w 1 Dywizji, otrzymał stopień porucznika, a już w maju 1944 r. był generałem brygady, zaś w lutym 1945 r. - generałem dywizji. Lista funkcji, jakie obejmował w swym wojennym i powojennym życiu jest imponująca: od zastępcy dowódcy 1 Korpusu przez kierownika Centralnego Biura Komunistów Polskich w ZSRR, zastępcę naczelnego dowódcy Wojska Polskiego, wojewodę śląsko-dąbrowskiego, wicepremiera i wreszcie - od 1952 r. aż do śmierci w 1964 r. - przewodniczącego Rady Państwa PRL. Tak zaskakujące awanse Zawadzkiego miały zapewne związek z faktem, iż przed wojną kierował przez pewien czas Centralnym Wydziałem Wojskowym KPP, który faktycznie stanowił ekspozyturę sowieckiego wywiadu. Był więc szczególnie zaufanym człowiekiem Moskwy, która zresztą widziała w nim personalną alternatywę dla Bieruta i jego potencjalnego następcę.

W marcu 1956 r. zmarłego Bieruta zastąpił jednak Edward Ochab, kolejny dawny KPP-owiec i politruk z Sielc, który trafił na szczyty władzy. Zaraz po wojnie zajmował raczej podrzędne stanowiska (m.in. wiceministra administracji publicznej), by dopiero w 1949 r. zostać wiceministrem obrony i szefem Głównego Zarządu Politycznego LWP u boku marszałka Rokossowskiego, a przy tym otrzymać stopień generalski. Później Ochab pełnił już funkcje wyłącznie cywilne, w tym sekretarza i [krótko] I sekretarza KC, ministra rolnictwa oraz przewodniczącego Rady Państwa (przez 4 lata po Zawadzkim).

Generałami zostali też cytowani wcześniej Leszek Krzemień, Marian Naszkowski i Juliusz Hibner. Najdłużej trwała kariera Naszkowskiego: w 1945 roku został szefem Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu, w 1947 roku ambasadorem w Moskwie, 3 lata później wiceministrem obrony i szefem GZP LWP, zaś 1952 r. wiceministrem spraw zagranicznych, którą to funkcję pełnił aż do 1968. Następnie przesunięto go na stanowisko redaktora naczelnego "Nowych Dróg", a w 1972 r. wysłano na ambasadora przy Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie.

Zaufani ludzie Moskwy

O ile Naszkowski był jednak człowiekiem na pewnym poziomie intelektualnym (przed wojną ukończył studia filozoficzne we Lwowie), to inny późniejszy generał, którego nazwisko znajdujemy w wykazie politruków - Kazimierz Witaszewski - stanowił jego przeciwieństwo: łódzki tkacz, bez żadnego wykształcenia, w Polsce Ludowej został pierwszym szefem związków zawodowych, następnie I sekretarzem KW we Wrocławiu, kierownikiem Wydziału Kadr KC, wreszcie w 1952 r. kolejnym wiceministrem obrony i szefem GZP LWP. Na tej funkcji utrzymał się przy Rokossowskim najdłużej, bo aż do października 1956 r. Na dymisję zapracował sobie sławetnym stwierdzeniem o konieczności potraktowania inteligentów rurkami od gazu, co przysporzyło mu powszechnie używany przydomek generał gazurka. Mimo tak fatalnej opinii w 1960 r. Gomułka mianował Witaszewskiego kierownikiem Wydziału Administracyjnego KC, któremu podlegały m.in. MSW i MON. Zajmował to stanowisko aż do 1968 r., na co z pewnością miało wpływ zaufanie, jakim cieszył się w Moskwie.

Taka sama przyczyna musiała stać za niezwykłą karierą generała Piotra Jaroszewicza, który do obozu sieleckiego przybył jako szeregowy w sierpniu 1943 r., a w końcu wojny był już pułkownikiem w dodatku zastępcą dowódcy 1 Armii - co ciekawsze, Jaroszewicz przed wojną nie miał żadnych związków z komunizmem, zaś jako państwowy nauczyciel wręcz angażował się w organizacjach sanacyjnych. On sam pod koniec życia przyznawał: Szybkość moich awansów mnie samego dziwiła. Ale bez przesadnej skromności, wiedziałem, za co mnie cenią. Dla przykładu - wielką satysfakcję sprawiło mi to, że miałem powodzenie wśród żołnierzy jako wychowawca (B. Roliński, "Piotr Jaroszewicz: przerywam milczenie... 1939-1989", Wa-wa 1991, s. 53). Chyba jednak sam nie wierzył w to, co mówił, bo trudno talentami pedagogicznymi wytłumaczyć późniejsze awanse na wicepremiera i premiera PRL.

W szeregach UB i GZI

Ale nie tylko wielkie kariery polityczne stały się udziałem politruków z armii Berlinga. Nie do przecenienia jest ich rola w tworzeniu stalinowskiego aparatu represji w Polsce Ludowej. Począwszy od wiceministrów bezpieczeństwa publicznego, generałów Mieczysława Mietkowskiego (który w Sielcach był głównym personalnikiem) i Konrada Świetlika, poprzez dyrektorów i wicedyrektorów departamentów MBP w stopniu pułkownika: Leona Andrzejewskiego, Anatola Fejgina, Józefa Jurkowskiego, Józefa Kratko, po funkcjonariuszy tylko z pozoru mało istotnych, jak dyrektor Centralnej Szkoły MBP płk Mieczysław Broniatowski czy szef Centralnego Archiwum resortu płk Zygmunt Okręt. W obozie sieleckim rozpoczęły się też kariery funkcjonariuszy partyjnych, którzy na fali odwilży przejęli kierownictwo nad bezpieczeństwem: Edmunda Pszczółkowskiego, w 1956 szefa Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego (już jako emeryt w 1980 r. otrzymał stopień generalski), i Antoniego Alstera, wiceszefa tego Komitetu, a potem wiceministra spraw wewnętrznych z lat 1954-1962.

Nie mniejszy wkład mieli niedawni politrucy w tworzenie drugiego pionu represji tamtych czasów - Głównego Zarządu Informacji LWP. Szefami tej służby byli bowiem płk Stefan Kuhl (1947-1950) i płk Karol Bąkowski (1953-1956), a wiceszefami - wspomniany już płk Fejgin (1945-1950) i płk Eugeniusz Zadrzyński (1945-46). Warto też pamiętać nazwiska niektórych szefów wydziałów GZI, jak ppłk Wincenty Klupiński, płk Ignacy Krzemień czy płk Władysław Halbersztadt. Ten ostatni w latach 1954-1956 pełnił jeszcze funkcję komendanta Oficerskiej Szkoły Informacji, gdzie kształcono nowe kadry wojskowego kontrwywiadu.

Oficerowie z pionu polityczno-wychowawczego armii Berlinga robili w PRL kariery także w dziedzinach mało kojarzących się z wojskiem: w kulturze, nauce, dziennikarstwie, a nawet sporcie. Przecież sam Włodzimierz Sokorski, już na początku 1944 r. odsunięty na boczny tor, w PRL przez wiele lat był ministrem kultury i sztuki, a później przewodniczącym Komitetu ds. Radia i Telewizji. Jeden z pierwszych jego podwładnych, płk Leonard Borkowicz, zaraz po wojnie został pierwszym wojewodą szczecińskim, a w latach 1954-1958 kierował Centralnym Urzędem Kinematografii. Inny, płk Wilhelm Strasser, w początkach lat 50 stał na czele Polskiej Agencji Prasowej, a później był wieloletnim dyrektorem departamentu w cenzurze. Paweł Hoffman po 1945 r. zajmował fotel redaktora naczelnego "Rzeczpospolitej" i "Nowej Kultury", a w latach 1950-1954 stał na czele Wydziału Kultury KC, Wiktor Borowski był pierwszym naczelnym "Życia Warszawy", później zaś wieloletnim zastępcą naczelnego "Trybuny Ludu", Stanisław Nadzin kierował tygodnikiem "Żołnierz Polski", Artur Hajnicz "Żołnierzem Wolności", natomiast Irena Grosz od 1949 aż do 1971 r. pełniła funkcję naczelnego pisma "Gromada - Rolnik Polski". To oczywiście tylko niektóre dziennikarskie talenty rozkwitłe w armii Berlinga.

Czołowymi piewcami nowego ustroju również byli pisarze noszący wcześniej mundury politruków, m.in. Adam Ważyk, Jerzy Putrament, Arnold Słucki. Jeden z pierwszych oficerów tego pionu, Władysław Krasnowiecki, w czasie wojny kierujący Teatrem 1 Armii, w Polsce Ludowej stał się znanym aktorem i reżyserem, a także rektorem warszawskiej szkoły teatralnej i prezesem SPATiF. Nie mniejszą karierę zrobiła gwiazda Teatru 1 Armii, Ryszarda Hanin, której mąż, kierownik artystyczny tej sceny Leon Pasternak, po wojnie był pisarzem i satyrykiem. Warto też, zwrócić uwagę na Czołówkę Filmową LWP, której szefem był kpt. Aleksander Ford, po 1945 r. faktyczny dyktator polskiej kinematografii, a pracownikami m.in. Stanisław Wohl, Ludwik Perski, Władysław i Adolf Forbertowie - czołowi powojenni reżyserzy i operatorzy.

Niektórzy z wyszkolonych w Sielcach politruków zrobili później kariery naukowe. Wymieńmy choćby znanego historyka prawa prof Juliusza Bardacha, marksistowskiego filozofa i etyka prof Marka Fritzhanda, historyka prof Leona Grosfelda, ekonomistę prof Wiktora Herera (zanim został naukowcem, w latach 1945-1952 był jeszcze podpułkownikiem w MBP), czy dobrze zapowiadającego się socjologa Henryka Hollanda, który popełnił głośne samobójstwo w 1961 r. Ciekawą postacią był też płk Michał Jekiel, znany działacz sportowy, organizator pierwszych Wyścigów Pokoju, wieloletni wiceprezes Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki oraz sekretarz generalny Międzynarodowej Unii Kolarskiej.

Skład narodowościowy

Podobnych nazwisk można by wymienić jeszcze sporo, choć w sumie była to grupa dość niewielka: owa pierwsza kadrowa, czyli politrucy z 1 Dywizji, to niespełna 200 osób. Po utworzeniu korpusu liczba ta wzrosła kilkakrotnie, ale większość tych którzy wstąpili do wojska już po jego wymarszu z Sielc, nigdy nie osiągnęła takiej pozycji jak ci pierwsi. Trzeba też pamiętać, że końcem wpływów owej pierwszej kadrowej stał się rok 1968. Wiązało się to z faktem, iż duża część politruków z 1 Dywizji była pochodzenia żydowskiego.

Już w czasie wojny wywoływało to zresztą niezadowolenie innych oficerów, o czym świadczy donos majora Władysława Sokołowskiego do władz sowieckich z połowy 1944 r., w którym czytamy: „Zgodnie z dyrektywą Mietkowskiego, wszyscy Żydzi, pracujący w aparacie politycznym (a Żydów w aparacie politycznym jest zdecydowana większość) podają w ankietach i wszędzie prezentują się jako Polacy. (...) W sprawozdaniach, które Mietkowski przesyła do organów kierowniczych, fakt przesycenia aparatu politycznego Żydami również jest starannie ukryty. W rzeczywistości skład narodowościowy aparatu Armii Polskiej, na dzień 1 czerwca 1944 r. wygląda następująco: na 44 oficerów Zarządu Politycznego (włącznie z redakcją gazety wojskowej i kierownictwem Domu Armii Polskiej) - 34 Żydów, 5 Polaków z Polski oraz 5 Polaków z ZSRR, przy czym wszystkie stanowiska kierownicze (szef Zarządu Politycznego, jego zastępca, szefowie wydziałów, redaktor gazety) są obsadzone przez Żydów. Zastępcami dowódców dywizji i brygad są Żydzi, z wyjątkiem jednego Polaka, podpułkownika Gawrońskiego (2.DP). W wydziałach politycznych dywizji na 28 odpowiedzialnych pracowników politycznych - 17 Żydów, na 43 pracowników politycznych na szczeblu pułku - 31 Żydów. W pułkowym aparacie politycznym poszczególnych pułków [4 Pułk Artylerii Przeciwpancernej, 5 Pułku Piechoty] nie ma ani jednego Polaka. Na 86 zastępców dowódców batalionów - 57 Żydów [cyt. za: "Polska - ZSRR. Struktury podległości. Dokumenty WKP[b] 1944-1949", Wa-wa 1995 s. 75-76].

Trudno dziś zweryfikować dokładność tych danych, choć z grubsza zapewne odpowiadają rzeczywistości. Taki bowiem był skład narodowościowy środowiska dawnych działaczy KPP, którzy w czasie wojny przebywali w ZSRR. Chociaż z drugiej strony trzeba przyznać, że większym zaufaniem Moskwy - i znacznie dłużej - cieszyli się komuniści o czysto polskich rodowodach, jak generałowie Jaroszewicz, Witaszewski czy Zawadzki.

Spśród politruków z armii Berlinga żyją już tylko nieliczni. Za to niemałą rolę w życiu publicznym III RP odgrywają ich dzieci. Pełnego wykazu tych czerwonych dynastii zapewne nigdy nie uda się odtworzyć, gdyż bycie synem lub córką człowieka budującego niegdyś komunizm nie jest powodem do dumy. Tytułem przykładu wymieńmy tylko niektórych: poseł Marek Borowski (syn podporucznika Wiktora Borowskiego), reżyserki filmowej Agnieszki Holland i Magdaleny Łazarkiewicz (córką kapitana Henryka Hollanda), dyrektor tworzonego właśnie Muzeum Historii Żydów Polskich Jerzy Halbersztadt (syn pułkownika Władysława Halbersztadta), profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Jan Grosfeld [syn pułk. Leona Grosfelda], były prezes spółki ITI Corporation, właściciela stacji TVN, Michał Broniatowski [syn pułk. Mieczysława Broniatowskiego), dziennikarka "Gazety Wyborczej" Krystyna Naszkowska (córka generała Mariana Naszkowskiego).

Paweł Sergiejczyk - historia@naszapolska.pl

OPOWIEŚĆ O CZŁOWIEKU NIEZŁOMNYM

Film Ryszarda Bugajskiego o generale Augustcie Emilu Fieldorfie "Nilu" - mimo pewnych uchybień - zawiera wyraziste przesłanie moralne którego brak filmowi Andrzeja Wajdy o Katyniu. Dlatego jest dziełem wybitnym, zasługującym na dwugodzinną wyprawę do kina.

Kiedy w czerwcu zeszłego roku Maria Fieldorf-Czarska, córka generała "Nila", opublikowała w "Naszym Dzienniku" - w liście otwartym do producenta filmowego Włodzimierza Niderhausa, swoje zastrzeżenia co do scenariusza filmu fabularnego "Generał Nil", wydawało się, że nad produkcją zbierają się ciemne chmury. Pani Maria, poirytowana nadużywaniem w scenariuszu fikcji literackiej, swoistej licentia poetica, zamiast odtwarzania realnych wydarzeń, również dramatycznych i nie mniej "filmowych", postawiła ultimatum: "Jeśli panowie chcecie zrobić film autorski, to pod warunkiem że nie będzie tam mojego Ojca, mojej Mamy, mojej Siostry i mnie. To może być na przykład film „Generał Kowalski”. Nie życzę sobie zmyślonych scen - z udziałem moich najbliższych Zmarłych - przez szacunek dla Nich. Wykorzystam wszystkie dostępne mi środki prawne, by nie dopuścić do emisji takiego filmu”.

Od tego czasu minęło 10 miesięcy. A kiedy 6 kwietnia wychodziłem na przedpremierowy pokaz dla nauczycieli w Gdańsku, by wygłosić słowo wprowadzające, pani Maria powiedziała mi: "Mimo zastrzeżeń co do niektórych szczegółów uważam ten film za udany, jeśli chodzi o istotę sprawy. Ten film ma też bliskie mi przesłanie ideowe. Chciałabym, by zobaczyła go polska młodzież”.

Kiedy porównuję ostateczny kształt filmu z pierwotnym scenariuszem i zastrzeżeniami pani Marii z zeszłego roku, stwierdzam, że w gruncie rzeczy niewiele jej życzeń spełniono. W momencie ogłoszenia protestu zdjęcia do filmu były już ukończone, a wiadomo, że na etapie montażu nie wszystko da się poprawić. Można jednak usunąć rzeczy ewidentnie nieudane i to zrobiono. Jako przykład podam scenę z pierwotnego scenariusza, kiedy to Emil Fieldorf podczas spaceru w górach cytuje z pamięci fragment “Traktatu poetyckiego” Czesława Miłosza - z wyraźną sugestią, że to jego ulubiony poeta. Ta scena wprowadziła panią Marię w osłupienie. Po chwili cisnęła scenariusz w ką, mówiąc, że dalej “tego” nie będzie czytać: “Przecież ojciec uważał Miłosza za komunistę i sympatyka Sowietów! Miłosz przed wojną wyleciał z Polskiego Radia w Wilnie za próbę uprawiania propagandy komunistycznej. Dobrze znaleźliśmy sprawę, bo mieszkaliśmy wtedy w Wilnie. Kiedy aresztowano ojca, Miłosz siedział na placówce dyplomatycznej we Francji, jako attaché od stalinowskiej kultury w Polsce!”. Tak rzeczywiście było, a ja przy okazji tego scenariusza zastanawiałem się, czy aresztowanie “Nila” mogło mieć wpływ na decyzję Miłosza o pozostaniu na Zachodzie. Chciałbym, by tak było.

Inny przykład udanej poprawki to rezygnacja z następującej, fikcyjnej wypowiedzi “Nila”: “Co ja bym robił na Zachodzie? Spróbuję normalnie żyć tu (...). A nawet jeżeli mnie przymkną. Po pobycie w gułagu więzienie w Polsce to sanatorium”. Pani Maria zwróciła uwagę twórcom filmu na świadectwo rotmistrza Witolda Pileckiego, który po przesłuchaniu na UB powiedział, że “Auschwitz to przy tym igraszka”. Zrezygowano więc z “sanatorium”, i dobrze.

Co w takim razie sprawiło że Maria Fieldorf-Czarska mimo tak zasadniczych zastrzeżeń zmieniła zdanie po obejrzeniu wersji demo filmu w swoim gdańskim mieszkaniu, w gronie przyjaciół, i z całym przekonaniem namawia nas dziś do obejrzenia filmu? Każdy kto zna córkę “Nila”, wie, że nie należy ona do osób kapryśnych, często zmieniających zdanie. Powody musiały być więc ważne.

Najkrótsze recenzje

By wyjaśnić te powody, przytoczę dwie najkrótsze “recenzje” filmu, jakie kiedykolwiek słyszałem. Gdy wychodziliśmy z gdańskiego kina Neptun nikt się nie spieszył, choć było już bardzo późno. Ludzie spoglądali na siebie tak, jakby chcieli spotkać się jeszcze i porozmawiać o tym, co zobaczyli. Słyszałem strzępy rozmów. Młody mężczyzna powiedział do kolegi: “Wiesz, gdybym teraz spotkał jakiegoś komunistę, to od razu dałbym mu w m...!”. Tamten nic nie odpowiedział, jakby to było zupełnie oczywiste. Szli dalej w milczeniu... Poszliśmy z grupą młodych ludzi na kawę. I wtedy usłyszałem drugą “recenzję”, która - moim zdaniem - trafia w sedno sprawy i wyjaśnia także postawę pani Marii wobec filmu. Agnieszka Szarafin, licealistka ze Starogardu Gdańskiego, powiedziała mi: “Ja się historią interesuję, ale mało wiem o generale ‘Nilu’. Jednak ten film jest piękny i ciekawy nie tylko dlatego, że przypomina postać generała, ale dlatego, że pokazuje uczciwego i twardego człowieka, otoczonego przez zgraję skończonych łajdaków”.

I tak również można patrzeć na film o ‘Nilu’, nawet jeśli się ktoś nie interesuje historią. To film dla każdego, bo to jest po prostu opowieść o człowieku uczciwym i niezmiennym w swych przekonaniach. O takim człowieku, jakim my sami chcielibyśmy być. O człowieku, do którego tęsknimy. To jest uniwersum czytelne dla każdego widza, nawet jeśli nie rozumie on kontekstu historycznego wydarzeń. W przeciwieństwie do Wajdy, Bugajski nie stosuje “dialektyki” ani nie gra racjami, “złożonością” sytuacji. Bohater jest bohaterem, a łajdak łajdakiem. Wajda stoi obok pokazywanych przez siebie wydarzeń, Bugajski jest w samym środku. Wajda zasypuje nas literackimi i filmowymi aluzjami i cytatami, zachęca do akademickich, jałowych dyskusji na temat postawy Antygony i Ismeny. Bugajski pokazuje obcęgi, którymi bandyta z UB miażdży palce i skłania więźnia do podpisania fałszywych zeznań obciążających “Nila” - bo człowiek jest tylko człowiekiem i istnieje granica fizycznej odporności na ból. Wajda pokazuje zbrodnię, Bugajski pokazuje w kapitalnych scenach z sowiecką “matrioszką” - Bierutem, istotę systemu sowieckiego, jego siłę deprawatorską, demoniczną. Postawa “Nila” na tym tle to promień słońca, który zapowiada w samym środku stalinowskiej nocy, że nie wszystko stracone, skoro są tacy ludzie jak generał Fieldorf.

Bal u Senatora

O Bugajskim krąży powszechna opinia, że jest specjalistą od “mocnych” scen w stylu amerykańskiego kina sensacyjnego i że ich nadużywa. Może tak było w “Przesłuchaniu”. W filmie o “Nilu” tych mocnych scen nie brakuje, ale trzeba też od razu powiedzieć, że mają one głębokie uzasadnienie. Bez pokazania dna piekła nie można zrozumieć istoty ówczesnego zniewolenia.

Bugajski pokazał też jednak, że potrafi posłużyć się wielką literaturą i stworzyć niezwykłą filmową alegorię. Scena zabawy z udziałem oficerów NKWD i MBP zapowiada się zwyczajnie. Ot, zwykle rozmowy łajdaków, karierowiczów z ich sowieckimi nadzorcami. Lecz oto w pewnym momencie widz odkrywa, że jest na balu u Senatora, widzi III część “Dziadów” Adama Mickiewicza! Po chwili zapowiadają wejście

Bieruta. Uczestnicy “balu” pokornie chyłą głowy przed namiestnikiem Moskwy, a zdumiony widz przypomina sobie nieśmiertelne słowa z narodowego arcydramatu, wypowiedane przez Gustawa Holoubka w monologu Konrada a jeszcze bardziej słowa rosyjskiego sowietnika, wywołujące pamiętne manifestacje młodzieży w Teatrze Narodowym w Warszawie w listopadzie 1967 r.: “Nie dziw, że nas tu przeklinają. Wszak to już mija wiek, jak z Moskwy w Polskę nasylają samych łajdaków stek”... Tą jedną sceną Bugajski postawił “Nila” w rzędzie męczenników narodowej Sprawy i wyjaśnił zasadniczy błąd wielu z tych, którzy piszą o sprawie “Nila” jako o zbrodni “polskiego” sądu. To nie był sąd “polski”, lecz sowiecki. Zabili go nie swoi, lecz obcy.

Mistrz

Bugajski jawi się jako mistrz języka filmowego i sztuki filmowej nie tylko w obrazach-cytatach z Mickiewicza. Charakterystyczne i na pewno nieprzypadkowe są ruchy kamery pokazującej kanciaste sylwetki oficerów sowieckich i ich epolety wypełniające ekran. Epolety pokazywane są na zmianę: raz polskie, raz sowieckie. Prosty, lecz bardzo czytelny znak utożsamiający prawdziwych Sowietów z ludźmi w polskich mundurach, popami, czyli “pełniącymi obowiązki Polaków” - jak ich określono w meldunkach wywiadowczych WiN dla rządu RP na uchodźstwie.

Jest też wyraźny cytat z Żeromskiego, z “Przedwiośnia”. Żołnierze AK wracający z Sybiru i z Kaługi w roku 1947, wysadzeni na stacji kolejowej Biała Podlaska, padają na peron, płaczą i całują polską ziemię - tak jak ci, którzy wracali do Ojczyzny z Rosji ogarniętej bolszewicką rewoltą. Chłopiec deportowany z rodziną w Sowiety w roku 1939 (tak jest w filmie, chyba raczej w 1940?) stracił tam rodziców, a teraz wraca jako 19-latek. Postać ta (Michał) to oczywiście proste nawiązanie do Cezarego Baryki. Bugajski stosuje te wszystkie cytaty i nawiązania po to, aby pokazać powtarzalność pewnych sytuacji z naszej historii, by pokazać polski los. Ponadto chce podkreślić, że i wróg jest ten sam. Sowietci nie przyszli bowiem do Polski po to, by robić “rewolucję społeczną” lub by budować “prawdziwą demokrację” - jak zapewniała propaganda Stalina. Przyszli po to samo, po co przychodziło wcześniej rosyjskie imperium. Przyszli zabrać nam wolność. To jasne przesłanie całego filmu. To powód, dla którego Maria Fieldorf-Czarska zaakceptowała pewne sceny które budziły jej zastrzeżenia. Ponadto został spełniony drugi ważny warunek: pani Maria chciała, by w filmie wyraźnie pokazano, zgodnie z prawdą, że jej ojciec został zamordowany za odmowę współpracy. “Dziś za bohaterów uważa się tych, co współpracowali z bezpieką, a teraz ‘mają odwagę’, by się do tego przyznać. Po pierwsze, nie mają odwagi, bo przyznają się dopiero wtedy, gdy IPN o tym powie. Po drugie, ich przyznanie się bywa niegodziwe, na przykład wtedy, gdy mówią ‘przepraszam, że musiałem’. Po trzecie, to nie oni są bohaterami, lecz ci właśnie, co odmówili. Oni zasługują najwyżej na politowanie” - mówi Maria Fieldorf-Czarska. I zapewne powtórzy to w Teatrze Narodowym podczas uroczystej premiery filmu, jeśli dostanie mikrofon...

Jesteśmy Żydami

Na tle obowiązującej w Polsce, narzuconej przez “Gazetę Wyborczą” politycznej poprawności, która zakazuje wszystkiego, co mogłoby wyglądać na “antysemityzm”, na uwagę zasługuje scena posiedzenia tzw Sądu Najwyższego w październiku 1952 r. Sędziowie mają ostatecznie postanowić o losie “Nila”. Jak wiadomo, uchylili wyrok Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, ale tylko po to, by zmienić kwalifikację “przestępstw” generała. Podtrzymali jednak wyrok śmierci na bohatera Polskiego Państwa Podziemnego. “Sędziowie” stwierdzają w trakcie narady, że są “Polakami pochodzenia żydowskiego”. To dobrze, że padają te słowa, może w końcu uda się przełamać kolejne tabu i pokazać, że niechęć do Żydów (nie “antysemityzm”) nie została wyssana z mlekiem matki, lecz ma swoje źródła w naszej pamięci narodowej. Zagłada zgotowana Żydom podczas wojny przez państwo niemieckie nie może być usprawiedliwieniem dla niegodziwości, których wielu Żydów dopuściło się w Polsce po wojnie w służbie Sowietom. Trauma nie może być usprawiedliwieniem zbrodni. Polacy też żyli po wojnie w traumie. Przypadki śmierci Żydów wysługujących się Sowietom w zniewalaniu Polski, zlikwidowanych przez drugą konspirację niepodległościową nie mogą być traktowane jako akty “antysemityzmu” usprawiedliwiające morderstwa popełniane przez bezpiekę na powojennych żołnierzach niezłomnych. Trzeba też widzieć różnicę między “pogromami” a prowokacjami sowieckimi: w Kielcach, Krakowie, Rzeszowie. Dopóki nie wydobędziemy się z tego bagna kłamstw i dogmatów, niemożliwe będą normalne stosunki między Polakami a Żydami. W sprawie “Nila” wszyscy sędziowie byli Żydami: Maria Górowska vel Gurowska, Gustaw Auscaler, Emil Merz i Igor Andrejew. Merz i Auscaler opuścili Polskę w roku 1968 jako “ofiary antysemitycznych czystek”, którymi różni niegodziwcy obarczają cały Naród Polski, nie bacząc na to, że na walki frakcyjne w ramach PZPR nie mieliśmy żadnego wpływu.

Aktor

Kiedy pani Maria Fieldorf-Czarska wyrażała niepokój o ostateczny kształt filmu, kierownik produkcji, doświadczony filmowiec Tadeusz Drewno pocieszał ją: “Scenariusz rzeczywiście nie jest najlepszy, ale

niech pani pamięta, że ten scenariusz zrealizuje wybitny reżyser, a rolę pani ojca zagra jeden z najwybitniejszych aktorów powojennego polskiego kina”. Miał rację. Rola “Nila” to chyba życiowa rola Olgierda Łukaszewicza, choć przecież w jego artystycznej biografii wielkich ról nie brakuje. Dziś Łukaszewicz jest doświadczonym aktorem i ma doświadczenie życiowe człowieka w wieku zbliżonym do generała Fieldorfa z ostatnich lat jego życia. Potrafił to wykorzystać. Gra “Nila” i gra siebie - dojrzałego mężczyznę tęskniącego za życiem rodzinnym, za spokojem. Ponad pragnienie spokoju przebija się jednak lęk o zachowanie dobrej, żołnierskiej sławy. “Nil” Łukaszewicza ma świadomość, że podejmuje decyzje nie tylko za siebie i dla siebie czy dla swojej rodziny. Ma świadomość, że jest w Polsce symbolem, że patrzą na niego podkomendni, że musi zachować się “jak trzeba”. Sceny więzienne z udziałem Łukaszewicza “Nila” przejdą do historii polskiego kina. Jestem o tym przekonany! Udało się temu wybitnemu aktorowi pokazać godność polskiego oficera - w warunkach poniżenia, osamotnienia, strachu o siebie i bliskich. To wielka sztuka, by pokazać normalnego człowieka, nie na koturnie - rodzinnego, obdarzonego poczuciem humoru, robiącego zakupy na targowisku - a jednocześnie pokazać jego wielkość i heroizm. Bo heroiczna jest decyzja “Nila” o pozostaniu w kraju. Heroiczna jest odmowa pisania prośby do Bieruta, bo jest ona przecież jednoznaczna z wyrokiem śmierci.

Bez happy endu

Ostatnie sceny filmu robią wielkie wrażenie na każdym widzu. Widzimy ciała “Nila” i innych zamordowanych więźniów zapakowane do worków, ładowane na furmanki przez ludzi wyglądających jak z innego, jakiegoś piekielnego świata. Ciała zostają wywiezione gdzieś na łąkę czy pole. Dół już wykopany, jak w Lesie Katyńskim. Uderzenia spadających ciał, wrzucanych na dno dołu wbijają widzów w fotele. Takich scen się nie zapomina.

Błędy

Film zawiera też sceny, w których można dostrzec błędy lub z którymi trudno się zgodzić. Do oczywistych błędów zaliczam odczytywany przez Marię Górowską wyrok śmierci “w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Górowska skazała naszego generała “w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej”[!], co było zapewne dla “Nila” wstrząsającym doświadczeniem, zważywszy na słowa przysięgi Armii Krajowej, w której jest Bóg, Królowa Polski i Rzeczpospolita. W kwietniu 1952 r. jeszcze nie było PRL, Stalin nanosił jeszcze odrębne poprawki na “konstytucji”, którą jego “posłowie” przyjmą w lipcu 1952 roku.

Mam też wątpliwości co do pewnej sceny więziennej. Więzień wyglądający z celi na dziedziniec informuje współtowarzyszy, że właśnie prowadzą kogoś na egzekucję, a za nim biegnie “jakiś ksiądz”. Z kontekstu wynika, że to ostatnia posługa. W lutym 1953 r. za naczelnika Alojzego Grabickiego? Księża, owszem, bywali wtedy na Mokotowie, ale w zupełnie innym charakterze.

Nie zgadzam się ze sceną rozmowy “Nila” z żoną na temat procesu moskiewskiego. Pani Maria to potwierdza. Nigdy ani generał ani jego żona nie mieli cienia pretensji pod adresem gen Leopolda Okulickiego. Sowieckie protokoły rejestrujące pokazowy proces nie mogą być traktowane jako źródło historyczne lecz jako materiał opracowany przez odpowiednią komórkę do spraw propagandy. Zostały zresztą wydane po rosyjsku i polsku, dla celów propagandowych. Śmiesznie brzmią w filmie słowa o tym, że dzięki “naszym ludziom w UB” wiemy, co mówił generał Okulicki na procesie. Zarówno reżyserowi, jak i zapewne konsultantowi historycznemu zabrakło w tym przypadku roztropności a może po prostu dostali na ten czas małego rozumu, co się niekiedy zdarza. Szkoda, bo generał Okulicki, tak jak “Nil”, należy do męczenników narodowej Sprawy.

“Prezent” dla Bieruta

Niedawno Jan Pospieszalski zadał w swym programie “Warto rozmawiać” pytanie o “Nila”: Dlaczego go zamordowano? Nie zdażyłem na to pytanie odpowiedzieć tak, jak bym chciał, bo program dobiegał końca, ale nie opuszczało mnie ono także po wyjściu ze studia na Woronicza. Ileż to razy czytałem różne biografie generała Fieldorfa, ile nad tym myślałem, ile sam o nim pisałem. I dopiero trzeba było tego jednego programu i wyjazdu do Warszawy, by pewne sprawy zobaczyć w ostrym świetle. By skojarzyć ciąg zdarzeń i zrozumieć ich sens.

Kwiecień roku 1952 był dla Polaków nie do zniesienia, choć pogoda była piękna, zaczynała się wiosna, pola pachniały świeżo zoraną ziemią, trwały wiosenne siewy owsa. W całym kraju odbywała się jednak obrzydliwa polityczna orgia w azjatycko-bolszewickim stylu. Sowiecka propaganda szykowała wielkie 60-lecie “towarzysza Tomasza” czyli Bieruta. Te urodziny przypadły na piątek, 18 kwietnia. W ten dzień i w dni poprzedzające, zdumieni Polacy dowiedzieli się, że górny Karpacz to teraz Bierutowice! Że Huta Częstochowa to teraz Huta im. Bieruta, podobnie lubelska Fabryka Samochodów Ciężarowych! Że nawet Uniwersytet Wrocławski przybrał imię sowieckiego namiestnika na Polskę (nie do wiary: tak będzie do roku 1989 !). W partyjnych gazetach zaroilo się od adresów hołdowniczych i hymnów pochwalnych na cześć sowieckiej miernoty, przedwojennego agenta sowieckiego wywiadu i Kominternu,

szkodzącego Polsce, której był obywatelem, winnego zbrodni stanu, niedosłego wisielca - bo polski kodeks karny z lat 30 przewidywał tylko jedną karę za zdradę Ojczyzny.

W środę 16 kwietnia 1952, odbywa się tajne posiedzenie Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy. Na wokandzie sprawa Emila Fieldorfa. Sądzi Maria Górowska vel Gurowska. Ona o wszystkim decyduje. Jest jeszcze dwóch ławników, ale to statyści, „przedstawiciele ludu”. Nie mają głosu, muszą się tylko podpisać. A kim jest Górowska? To nie Górowska, to Żydówka Maria Sand, lat 38, członkini stalinowskiej Armii Ludowej, po wojnie dyrektorka partyjnej „szkoły prawniczej” dla sędziów! Ma już na koncie wyroki śmierci na polskich patriotów. Za dwa dni urodziny „towarzysza Tomasza”. Ona da mu najlepszy prezent urodzinowy! Coś, co nie mieści się w polskiej głowie, doskonale tłumaczy się mentalnością bolszewicką. Generał „Nil” był najwyższym rangą spośród żyjących na terenie Polski przywódców Polski Podziemnej. Bierut, sowiecki namiestnik, obawia się go, choć przecież „Nil” nie ma już podkomendnych, którym mógłby wydać rozkazy. Bierut boi się jego sławy, boi się miłości, jaką otaczają „Nila” oficerowie i żołnierze AK. Trzeba go zabić i zakopać w takim miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie! I Górowska to robi! Potem będzie jeszcze Sąd Najwyższy, Rada Państwa etc., ale najważniejsza decyzja w sprawie „Nila” już zapadła. Był jeszcze tylko jeden wariant: skłonić go do współpracy. Wtedy jego sława nie byłaby groźna. Ale on się na to nie zgodził, bo poza dobrą żołnierską sławą już nic nie miał im do oddania...

Proces Górowskiej rozpoczął się w roku 1997, ale był zupełnie nieskuteczny, bo oskarżona nie zgłaszała się na rozprawy. Nie bała się żadnych sądów. Nie po to ona i jej towarzysze zabiegali przez całe lata o odpowiednich ludzi „na odcinku ludowej sprawiedliwości”, by teraz obawiać się jakichś niespodzianek. Umarła w Warszawie, nie usłyszała nigdy z ust sędziego, w imieniu Rzeczypospolitej, że popełniła sądową zbrodnię.

Zapytałem kierowcę warszawskiej taksówki, czy wie, gdzie jest w Warszawie ulica generała Fieldorfa. Odpowiedział: „No pewnie, to nie jest jakaś tam mała uliczka. Kiedyś to była ulica Bolesława Bieruta”...

O mnie się nie martwcie zupełnie...

Wygłaszając słowo przed filmem, miałem zamiar na koniec przekazać publicznie opinię pani Marii o nim. Jednego nie przewidziałem. Kiedy zacząłem czytać głośno ostatni list 'Nila' z więzienia, poczułem silne wzruszenie, które odebrało mi głos. Ostatnie słowa wypowiedziałem szeptem. Oto ten list charakteryzujący 'Nila' jako człowieka. Jest styczeń 1953 roku. Lada dzień wyprowadzą go na śmierć. Pisze do żony ostatni list. Nie skarży się na swój los, lecz przeprasza, że w poprzednim liście prosił ją o pomoc dla ojca. A przecież ona sama biedna, ledwie wiąże koniec z końcem. Oto, jakie sprawy zaprzętały głowę tego szlachetnego człowieka w obliczu śmierci!

“Kochana Janinko, w czasie ostatniej naszej rozmowy wspomniałem Tobie, że przydałoby się pomóc trochę Ojcu mojemu. Kiedy później zastanowiłem się nad tym, zrobiło mi się przykro, bo przecież wiem, jak i u Ciebie jest krucho. Moja Droga, jeśli wspomniałem o Ojcu, to jedynie pod tym warunkiem, że to, co Jemu przeznaczą, będzie zamiast dla mnie. Nie wysyłaj mi pieniędzy. O mnie się nie martwcie zupełnie. Ani to ulgi nie przyniesie, ani też pomoże”...

Piotr Szubarczyk - Nasz Dziennik 11-13 kwietnia 2009

Abp Marcel Lefebvre, bp Antônio de Castro Mayer

KRÓTKIE STRESZCZENIE GŁÓWNYCH BŁĘDÓW SOBOROWEJ EKLEZJOLOGII

Pojęcie Kościoła jako Ludu Bożego można obecnie spotkać w wielu oficjalnych dokumentach: teksty Soboru *Unitatis redintegratio* i *Lumen gentium*; nowe prawo kanoniczne [kan. 204.1]; list Papieża *Catechesi tradendae* i przemówienie w kościele anglikańskim w Canterbury; dyrektorium ekumeniczne *Ad totam Ecclesiam* Sekretariatu ds. Jedności Chrześcijan. Tchnie zeń duch latitudynaryzmu i fałszywego ekumenizmu.

Liczne fakty są przykładem tej heterodoksyjnej koncepcji: zezwolenia na budowę religijnych pomieszczeń o przeznaczeniu pluralistycznym; wydawanie ekumenicznych wersji Pisma św., sprzecznych z wymaganiami katolickiej egzegezy, ekumeniczne ceremonie, jak np. w Canterbury.

W *Unitatis redintegratio* naucza się, że podział wśród chrześcijan - jest zgorzeniem dla świata i przeszkodą w przepowiadaniu Ewangelii wszelkiemu stworzeniu i że Duch Święty uzdrowi podziały wprowadzone do Kościoła po dniu Pięćdziesiątnicy, jak gdyby jedność wyznania nigdy w Kościele nie istniała.

Idea Ludu Bożego prowadzi do przekonania, że protestantyzm jest jedną z form religii chrześcijańskiej. Sobór Watykański II uczy o prawdziwej więzi w Duchu z sektami protestanckimi (*Lumen gentium*, nr 14) i o pewnej choć niedoskonałej z nimi wspólności (*Unitatis redintegratio*, nr 3).

Ta ekumeniczna jedność sprzeczna jest z encykliką Leona XIII *Satis cognitum*, która uczy, że Chrystus nie założył jednego Kościoła obejmującego wiele podobnych rodzajowo wspólnot, oddzielonych od siebie i nie związanych żadną tworzącą jeden i jedyny Kościół więzią. Jest również sprzeczna z encykliką Piusa XII *Humani generis*, która potępia sprowadzanie konieczności przynależenia do Kościoła do jakiegokolwiek bądź formuły, a także z encykliką *Mystici Corporis Christi* tego samego Papieża, która potępiła ideę Kościoła duchowego, będącego czymś w rodzaju niewidzialnej więzi łączącej wspólnoty rozdzielone w wierze.

Ekumenizm ten sprzeciwia się również nauce Piusa XI zawartej w encyklice *Mortalium animos*: W tym miejscu należy wyjaśnić i usunąć błędne zapatrywania, na których wspiera się cała podstawa tych spraw i te różnorodne wspólne dążenia niekatolików ku zjednoczeniu chrześcijańskich Kościołów, o czym była mowa. Inicjatorzy tej idei prawie wciąż przytaczają słowa Chrystusa: *Ut omnes unum sint... Fiet unum ovile et unus pastor* - „Aby wszyscy byli jedno... Jedna niech będzie owczarnia i jeden pasterz” (J 17, 21 i 10, 16), ale w ten sposób, jakby te słowa wyrażały życzenie i prośbę, które mają się dopiero spełnić. Są bowiem zdania, że jedność wiary i kierownictwa co jest znamieniem prawdziwego i jednego Kościoła Chrystusa nigdy poprzednio nie istniała i dzisiaj także nie istnieje.

Ekumenizm ten, potępiony przez katolickie prawo i moralność, posuwa się aż do zezwalania na przyjmowanie sakramentów pokuty, Eucharystii i ostatniego namaszczenia z rąk szafarzy niekatolickich (kan. 844 nowego *Kodeksu Prawa Kanonicznego*) i sprzyja ekumenicznej gościnności zezwalając szafarzom katolickim na udzielanie sakramentu Eucharystii niekatolikom.

Wszystko to wyraźnie sprzeciwia się Objawieniu Bożemu, które nakazuje rozdział i odrzuca ideę łączności - między światłością a ciemnością, między wierzącymi a niewiernymi, między świątynią Boga i bałwanów (2 Kor 6, 14-18).

Zachwiawszy jednością wiary, współcześni moderniści usiłują zachwiać jednością władzy i hierarchiczną strukturą Kościoła. Doktryna, wedle której kolegium biskupów w łączności z papieżem stanowi, w sposób zwyczajny i stały, drugi przedmiot najwyższej władzy w Kościele, zawarta już w soborowej konstytucji *Lumen gentium*, została wyrażona dokładniej w nowym *Kodeksie Prawa Kanonicznego* (kan. 336).

Owa doktryna - podwójnej najwyższej władzy, stoi w sprzeczności z nauczaniem i praktyką *Magisterium* Kościoła szczególnie Soboru Watykańskiego I [DS 3055] i encykliki Leona XIII *Satis cognitum*. Jedynie papież posiada najwyższą władzę, której udziela w miarę, jak uznaje to za konieczne i w nadzwyczajnych okolicznościach.

Z tym poważnym błędem wiąże się demokratyczna orientacja w Kościele, jako że źródłem władzy jest Lud Boży zdefiniowany w nowym *Kodeksie Prawa Kanonicznego*. Ten błąd jansenistów został potępiony bullą *Auctorem fidei* Piusa VI (DS 2602).

Przejawem tendencji do poszerzania uczestnictwa mas w rządach są synody i konferencje biskupów, rady duszpasterskie oraz liczne komisje rzymskie i narodowe, a także w zgromadzeniach zakonnych (por. Sobór Watykański I, DS 3601, nowy *Kodeks Prawa Kanonicznego* kan. 447).

Upadek autorytetu w Kościele jest źródłem panoszących się w nim anarchii i nieładu.

Fałszywe przyrodzone prawa człowieka

Soborowy dokument *Dignitatis humanae* stwierdza, że każdy człowiek posiada przyrodzone prawo do wolności w dziedzinie religijnej, co stoi w sprzeczności z nauczaniem poprzednich papieży, którzy wyraźnie odrzucają podobne bluźnierstwo.

Pius IX w encyklice *Quanta cura* i w *Syllabusie*, Leon XIII w encyklikach *Libertas praestantissimum* oraz *Immortale Dei*, Pius XII w przemówieniu do włoskich prawników katolickich *Ci riesce* zaprzeczają, że podobne prawo opiera się na rozumie, bądź też na Bożym Objawieniu.

Vaticanum II powszechnie wyznaje i głosi, że prawa nie inaczej się narzuca, jak tylko siłą samej prawdy, co jasno sprzeciwia się nauczaniu Piusa VI przeciw jansenistom z Synodu w Pistoii [DS 2604]. Sobór posuwa się aż do tej niedorzeczności, że ogłasza prawo nieuznawania i nie trzymania się Prawdy, zmusza rządy do rezygnacji z dyskryminacji religijnej przez ustanowienie równości wobec prawa religii prawdziwej i religii fałszywych. Doktryna ta opiera się na fałszywej koncepcji godności człowieka, która pochodzi od pseudofilozofów Rewolucji Francuskiej, agnostyków i materialistów potępionych listem apostoelskim św Piusa X *Notre charge apostolique*.

Vaticanum II twierdzi, że wolność religijna przyniesie Kościołowi epokę stabilności. Grzegorz XVI stwierdza coś zupełnie przeciwnego, a mianowicie, że uważanie nieograniczonej wolności poglądów za rzecz korzystną dla Kościoła jest oznaką najwyższej nieroztropności.

Sobór wyraża w *Gaudium et spes* fałszywy pogląd twierdząc, że źródłem ludzkiej godności jest Wcielenie, które odnowiło ją dla wszystkich ludzi... Ten sam błąd znajduje się w encyklice Jana Pawła II *Redemptor hominis*.

Skutki uznania przez Sobór fałszywych praw człowieka burzą podstawy społecznego panowania Pana Jezusa, a także naruszają autorytet i władzę Kościoła w misji rozszerzania panowania Chrystusa w ludzkich duszach i sercach poprzez zwalczanie szatańskich sił, które je zniewalają. A tych, którzy żywią jeszcze ducha misyjnego, oskarża się o grzech przesadnego prozelityzmu.

Neutralność państwa w sferze religijnej jest obelgą dla Pana Jezusa i dla Jego Kościoła, kiedy w grę wchodzi państwo o katolickiej większości.

Władza papieża jest, rzecz jasna, najwyższą władzą w Kościele, lecz nie może być ona absolutna i nieograniczona, jako że, podporządkowana jest wyrażonej w Tradycji, Piśmie Św. i w definicjach ogłoszonych przez *Magisterium* Kościoła, władzy Bożej (DS 3116). Władza papieża jest ukierunkowana i ograniczona poprzez cel, dla którego została mu powierzona. Cel ów został jasno zdefiniowany przez Piusa IX w konstytucji *Soboru Watykańskiego I Pastor aeternus* [DS 3070]. Zmiana ustroju Kościoła i powoływanie się w tym celu na prawo ludzkie przeciw Bożemu, jak miało to miejsce w przypadku doktryny o wolności religijnej, zezwolenia przez nowe Prawo Kanoniczne na interkomunię czy uznanie podwójnej władzy najwyższej w Kościele, jest nadużyciem tej władzy.

Jest czymś oczywistym, że w tych i innych podobnych wypadkach każdy kapłan i wierny katolik ma obowiązek opierać się i odmówić posłuszeństwa. Ślepe posłuszeństwo to nonsens i nikt nie jest zwolniony z odpowiedzialności w razie, gdyby słuchał raczej ludzi niż Boga (DS 3115). Jeżeli zło ma charakter publiczny i stanowi przedmiot zgorszenia dla dusz, opór również powinien być jawny [św. Tomasz z Akwinu, *Suma Teol.*, IIa-IIae, qu.33, a.4]. Są to podstawowe zasady moralne regulujące stosunki poddanych z każdą prawowitą władzą.

Słuszność tego oporu znajduje dodatkowe potwierdzenie w fakcie, że obecnie karze się tych, którzy mocno trwają przy Tradycji i wierze katolickiej, a tych, którzy głoszą różne heterodoksyjne doktryny i popędzają prawdziwe świętokradztwa, zostawia się w spokoju. Oto logiczne następstwo nadużycia władzy.

Protestancka koncepcja Mszy świętej

Zdefiniowana przez Jana Pawła II, w konstytucji wprowadzającej nowy *Kodeks Prawa Kanonicznego*, nowa koncepcja Kościoła pociąga za sobą głębokie zmiany w tym, co jest główną czynnością Kościoła: Najświętszej Ofierze Mszy św. Definicja nowej eklezjologii daje nam od razu dokładną definicję Nowej Mszy: nabożeństwo i kolegialna wspólnota ekumeniczna. Nie można lepiej zdefiniować Nowej Mszy, która tak jak nowy Kościół soborowy, zrywa z Tradycją i *Magisterium* Kościoła. Jest to koncepcja bardziej protestancka niż katolicka, co wyjaśnia wszystkie bezzasadne podkreślenia i pomniejszenia pewnych elementów.

Wbrew nauczaniu Soboru Trydenckiego na XXII sesji oraz wbrew encyklice Piusa XII *Mediator Dei*, przesadnie zwiększono rolę wiernych w uczestnictwie we Mszy św. i pomniejszono miejsce Ofiary prześlągalnej. Wywyższono i zeświecczono posiłek wspólnoty ze stratą dla szacunku przeistoczenia. Znosząc język sakralny, namnożono i rozpowszechniono fałszywe przekłady ze szkodą dla wiary i prawdziwej pobożności wiernych.

A tymczasem Sobory Florencki i Trydencki potępiły wszelkie takie zmiany i stwierdziły, że nasza Msza sięga w jej Kanonie czasów apostołskich. Papieże św. Pius V i Klemens VIII nalegali na konieczność unikania wszelkich zmian przez zachowanie na zawsze, uświęconego przez Tradycję rytu rzymskiego. Desakralizacja i zeświecczenie Mszy św. Pociągają za sobą laicyzację kapłaństwa na sposób protestancki. Reforma liturgiczna na wzór protestancki jest jednym z największych i najbardziej zgubnych dla wiary i łaski błędów Kościoła soborowego.

Swobodne rozprzestrzenianie błędów i herezji

Kościół w stanie nieustannych poszukiwań wprowadza w praktyce protestancką zasadę wolnego badania, wynik wielości *credo* wewnątrz Kościoła. Zniesienie Świętego Oficjum, *Indeksu* i *Przysięgi antymodernistycznej* wywołały u nowoczesnych teologów zapotrzebowanie na nowe teorie, które dezorientują wiernych i popychają ich w kierunku charyzmatyzmu, pentekotyzmu i wspólnot podstawowych. Jest to prawdziwa rewolucja wymierzona, koniec końców, przeciwko autorytetowi Boga i Kościoła.

We wnętrzu Kościoła rozwijają się dziś swobodnie poważne błędy, które zawsze były potępiane przez papieży:

1. W seminariach i na uniwersytetach katolickich wykłada się nowoczesną filozofię antyscholastyczną, egzystencjalizm i antyintelektualistów;

2. Humanizm popierany jest przez tych dostojników kościelnych, którzy naśladowują idee światowe, czyniąc z człowieka cel wszechrzeczy;

3. Naturalizm wywyższenie człowieka i wartości ludzkich sprawia, że zapomina się o nadprzyrodzonych wartościach Odkupienia i łaski;

4. Ewolucjonistyczny modernizm powoduje odrzucenie Tradycji, Objawienia i liczącego sobie 2000 lat *Magisterium*. Nie uznaje się już ani niezmiennej Prawdy, ani dogmatów;

5. Socjalizm i komunizm. Skandaliczna odmowa potępienia tych błędów na Soborze pozwala sądzić, że Watykan byłby dziś przychylny socjalizmowi lub komunizmowi w jakiejś mniej więcej chrześcijańskiej formie. Potwierdzeniem tego osądu jest postawa Stolicy Apostolskiej w ciągu ostatnich piętnastu lat tak po tej, jak po tamtej stronie żelaznej kurtyny;

6. I w końcu: porozumienia z masonerią, Światową Radą Kościołów i z Moskwą krępują Kościół i uniemożliwiają mu swobodne pełnienie jego misji. Jest to prawdziwa zdrada, która woła o pomstę do nieba.

Najwyższy czas, by Kościół odzyskał swoją wolność urzeczywistniania społecznego panowania Jezusa Chrystusa i Królestwa Maryi, nie troszcząc się o nieprzyjaciół.

Abp Marceli Lefebvre, bp Antoni de Castro Mayer - Zawsze Wierni, nr 5/1999 [30]

James Perloff

“HOLODOMOR” - CZĘŚĆ II (ostatnia)

Jednakże, najgorsze prześladowania spotkały cerkwie, ponieważ wyrażała ukraińską solidarność a poza tym, jej zasady duchowe były niezgodne z marksizmem. Według partii komunistycznej, “kościół to agitprop kulaków”. Kapłani zostali wymordowani lub zesłani do obozów pracy, majątki kościelne skonfiskowane a cerkwie zamknięte. Wielowiekowe, często zabytkowe, cerkwie zostały zburzone lub zamienione w kina, biblioteki, baraki albo inne budynki użyteczności publicznej. Ikony zostały zniszczone, książki i archiwa spalone; dzwony sprzedane lub oddane na złom. Do 1930 roku 80% cerkwi na wsiach ukraińskich zostało zamkniętych. Dotyczyło to nie tylko cerkwi prawosławnej ale również innych wyznań, gdyż według doktryny marksistowskiej “religia to opium dla ludu”.

Najgorsze jednak miało nadejść. Wprawdzie w 1932 roku zniknął już ślad po kulakach, ale nawet biedniejsi chłopci ciągle nie zgadzali się na kolektywizację i stawiali opór komunizmowi. Paradoksalnie, Stalin i spółka rozpoczęli teraz wojnę przeciwko biedocie ukraińskiej, która według ideologii marksistowskiej miała stanowić uwielbiany “proletariat”.

W 1932 r. Stalin zażądał zwiększenia produkcji zboża na Ukrainie o 44%. Cel ten mógł być osiągnięty, nawet gdyby komuniści nie zniszczyli ukraińskiego rolnictwa poprzez wyeliminowanie najlepszych rolników oraz zapędzenie pozostałych do nędznych kolchozów. Żadna wieś w tym czasie nie była w stanie dać żadanego zwiększenia produkcji rolnej, która wielokrotnie przekraczała wydajność w najlepszych latach przed kolektywizacją.

Stalin wydał wtedy jeden ze swoich najokrutniejszych rozkazów w swojej ciemnej karierze: jeżeli chłopci nie osiągną wymaganego poziomu produkcji należy im skonfiskować całe zboże. Jak to później opisał jeden z pisarzy sowieckich:

“Dla wykonania planu skonfiskowano wszystko bez wyjątku zboże łącznie z ziarnem przeznaczonym na siew, karmę a nawet poprzednio uiszczoną w zbożu zapłatę kolchoźnikom za ich pracę”. Chłopom zabrano wszystką żywność, jaką znaleziono w ich domach. Jeżeli jakaś rodzina chłopska nie oddała wszystkiego, oskarżona została o kradzież własności państwowej.

Jeden z wieśniaków opisał następująco sposób w jaki ‘brygady’ wpadały do wsi: Brygady chodziły od domu do domu. Pytali ile zboża mam dla rządu. Nie miałem nic. Odpowiedziałem im, że jeżeli nie wierzą niech obszukają obejście. Rozpoczynali przeszukiwania. Zaglądali wszędzie: do piwnicy, komórek, izb, na strych, na podwórku w chlewni, stodole, w stogach siana. Sprawdzali piece czy nie mają podwójnej ściany, za którą można było ukryć zboże. Wyrwali deski z podłogi, łamali belki, rozwalali podejrzane ściany, wywracali wszystko do góry nogami, przeszukiwali nawet ubrania. Konfiskowano najmniejszą ilość nasion ukrytych np. w słoiku na siew wiosenny, oskarżając właściciela o ukrywanie żywności przed władzą państwową.

Każda rodzina, która chciała przetrwać, musiała ukryć trochę żywności w różnych miejscach, ale brygady dochodziły z czasem do takiej wprawy, że znajdowały ją w najdziwniejszych miejscach. W rezultacie nastąpił straszliwy głód, który kosztował Ukrainę miliony ofiar w czasie surowej zimy 1932-33. Błagano sąsiadów nawet o obierki z ziemniaków. Pozostawiono wprawdzie nieco żywności w kolektywach, ale w sierpniu 1932 partia komunistyczna uchwaliła prawo według którego za kradzież własności społecznej groziła kara śmierci. Miejsca gdzie przetrzymywano żywność otoczone były drutem kolczastym

oraz więzami wartowniczymi, z których natychmiast strzelano do ludzi usiłujących ukraść trochę zboża dla głodujących rodzin. Zginęło w ten sposób tysiące wieśniaków.

Nie mogąc znaleźć żywności, jedzono mawet liście, korę z drzew, chwasty, insekty.

Amerykański dziennikarz Thomas Walker opisywał następującą sytuację: „Dwadzieścia mil na południe od Kijowa znalazłem się w wiosce, gdzie ocalało z głodu jakieś 40 osób. Zjedzono wszystkie psy i koty. Wszystkie konie krowy zostały skonfiskowane i przekazane kolchozom. W jednym z domów gotowano coś w kotle, co było trudne do określenia, wystawały jakieś kości, chwasty a nawet podeszwa od buta. Ci ludzie wpatrywali się łapczywie w garnek a ich twarze wyrażały stan ich głodu. Dochodziło nawet do kanibalizmu i morderstw na skutek głodu.

Wielu wieśniaków próbowało opuścić wieś udając się do dużych miast jak Kijów, gdzie były fabryki i żywność, ale w grudniu 1932 r. komuniści wprowadzili specjalne przepustki, bez których nie można było otrzymać pracy w mieście bez pozwolenia partii. Praktycznie wszystkim wieśniakom odmawiano takiego pozwolenia.

Niektórzy chłopci chcieli wyjechać do Polski, Rumunii lub nawet do Rosji gdzie nie było głodu, ale emigracja była całkowicie zakazana. Na stacje kolejowe zawsze przychodziło dużo głodujących ludzi, którzy błagali pasażerów o rzucenie przez okno kawałka chleba. Straż GPU natychmiast ich usuwała, często razem z ciałami tych którzy zmarli z głodu”.

Brytyjski dziennikarz Malcolm Muggeridge, który przedostał się na Ukrainę, potajemnie przekazał artykuł bez cenzury do *Manchester Guardian*, w którym pisał: „W czasie mojej obecnej wizyty na Ukrainie i na Kaukazie mogłem zaobserwować coś w rodzaju wojny pomiędzy władzą a chłopami. Z jednej strony miliony głodujących wieśniaków, wychudzonych jak szkielety, z drugiej strony żołnierzy GPU, którzy wypełniali instrukcje władzy - dyktatury proletariatu. Przeszli oni przez kraj jak rój szarańczy która wyjadła wszystko po drodze, zabijając lub wysiedlając tysiące chłopów, często całe wioski, przekształcając jedne z najbardziej żyznych ziem na świecie w pustynię. Dziennie z głodu umierało około 25 tys. ludzi. Ukraina stała się krainą horroru. Na poboczach dróg zalegały trupy tych, którzy bezskutecznie szukali żywności. Wiele z tych ciał przeleżało pod śniegiem do wiosny. Następnie zostały one wrzucone bezceremonialnie do masowych grobów przez komunistów”.

Wielu umierało z głodu w swoich domach. Niektórzy decydowali się na samobójstwo; najczęściej przez powieszenie, jeżeli mieli na to dość siły. Dołot pisał: „Moi sąsiedzi siedzieli w milczeniu przed domami, ich skóra była żółta i obwisła pod dużymi nieruchomymi oczami które wyrażały nadchodzącą śmierć”.

W tym samym czasie, komuniści otrzymywali duże porcje jedzenia, a bosowie spożywali nawet luksusową żywność. W książce pt. *Harvest of Sorrow* Robert Conquest opisał następującą scenę dziejącą się w restauracji w Pohrebyszczu, gdzie jedli partyjni oficjele: „Dzień i noc restauracji pilnowała milicja, odpędzając głodnych wieśniaków. W jadalni obsługiwano miejscowych bosów którzy mogli nabyć po niskich cenach biały chleb, mięso, drób, owoce w puszkach, delikatesy oraz wina i słodycze... Ta oaza, była otoczona obszarem głodu i śmierci”.

Przerażenie może budzić fakt, że duża część skonfiskowanego zboża, którego nie wyeksportowano na Zachód, została przez komunistów wyrzucona do morza lub zgniła na deszczu. Np. na stacji Reszetyliwka w okręgu Połtawa zniszczono w ten sposób dużą partię zboża, którego pilnowali strażnicy GPU. Amerykański dziennikarz, który przejeżdżał tam pociągiem zaobserwował olbrzymie piramidy zboża, które uległy samozapaleniu. Na stacji Lubotino widziano tysiące ton skonfiskowanych ziemniaków, które gniły otoczone drutem kolczastym. Włoski konsul w Moskwie Sergio Gradenigo pisał w sprawozdaniu z 31 maja 1933 roku: *Sztuczny głód został zaplanowany przez władze w Moskwie oraz zrealizowany poprzez brutalną rekwizycję. Celem tej zbrodni miało być zlikwidowanie ukraińskiego problemu w ciągu kilku miesięcy, poświęcając 10 do 15 mln ludzi. Nie myślcie, że są to przesadzone dane. W rzeczywistości mogą być nawet wyższe.*

Jakkolwiek nadal trwają dyskusje ile ludzi zginęło w rezultacie omawianej akcji na Ukrainie, liczby podane przez Sergio Gradenigo mogą być najbliższe prawdy. Historyk Robert Conquest, uznawany za autorytet w sprawach głodu, w książce *Harvest of Sorrow* szacuje liczbę ofiar na 14.5 mln. Połowę z tej liczby stanowią kulacy zamordowani w czasie egzekucji oraz zmarli na wskutek nieludzkich warunków panujących w gułagu, gdzie zostali zesłani. Sam głód pochłonął około 7 mln ofiar, z czego około 3 mln dzieci.

Jak Stalinowi pomagano ukryć Holocaust

Jak to możliwe że holocaust o takich niewyobrażalnych rozmiarach mógł pozostawać nieznanym Zachodowi? Po pierwsze, sowieci ukrywali jakiegokolwiek informacje dotyczące głodu. Zabroniono omawiać to w rosyjskiej prasie, znajdującej się całkowicie w rękach państwa bolszewickiego. Zwykły obywatel mógł pójść na trzy do pięciu lat do więzienia za głośne wspomnienie o głodzie. Autorom zachodnim,

którzy chcieli pisać o ciężkiej sytuacji na Ukrainie nie dawano wiz wjazdowych. Poza tym, wśród znanych i wpływowych pisarzy zachodnich było wielu sympatyków komunizmu czy nawet praktykujących. Np. George Bernard Shaw, któremu sowietci - zorganizowali starannie zaplanowaną podróż po Związku Radzieckim, pisał w 1932 r.: „Nigdzie w Rosji nie widziałem głodnego człowieka, młodego czy starego”.

Dużo większym łgarzem był Walter Duranty, szef moskiewskiego biura *New York Times'a* w latach 1922-36. Cieszył się on dużym zaufaniem Stalina, którego nazywał „największym politykiem naszych czasów”. Miał łatwy dostęp do Stalina i wychwalał nawet stalinowskie procesy pokazowe. Jednakże nazywanie go sympatykiem sowietów oznaczałoby niedocenianie jego roli. Dziennikarz Joseph Alsop nazwał Duranty'ego 'agentem KGB', a według określenia Malcolma Muggeridge był to największy kłamca jakiego spotkałem wśród dziennikarzy w ciągu mojej 50-letniej kariery.

(Brytyjski dziennikarz Malcolm Muggeridge, który opisywał dokładnie co działo się na Ukrainie stracił pracę w *Manchester Guardian*).

Publiczne zaprzeczanie istnienia *Holodomoru* było chyba najpodlejszym momentem w karierze Duranty'ego. W listopadzie 1932 r. okłamywał bezczelnie czytelników *New York Times*, pisząc, że „Na Ukrainie nie ma obecnie, ani nie będzie w przyszłości żadnego głodu”. Kilku dziennikarzy, którzy uczciwie pisali o głodzie, Duranty nazywał „kłamcami” a informacje o głodzie „wrogą propagandą”. Kiedy jednak pojawiało się coraz więcej reportaży dotyczących głodu na Ukrainie, Duranty zmienił taktykę, lekceważąc zjawisko. W marcu 1933 roku pisał w *NYT* „Nie ma tutaj żadnego głodu a zwiększona umieralność spowodowana jest niedożywieniem”. Paradoksalnie, w 1932 roku Duranty'emu przyznano nagrodę Pulitzera za „bezstronne opisywanie tego co się dzieje w Rosji”.

Ktoś mógłby zapytać: „Czy Ukraińcy stawiali jakiś opór ludobójstwu”. Tak! W tym czasie na Ukrainie wybuchły setki protestów w różnej skali. Zdarzały się nawet wypadki napaści zdesperowanych kobiet na strażników, aby zdobyć trochę jedzenia dla dzieci.

Od czasu do czasu znajdowano również martwych miejscowych sekretarzy partii, którzy dali się we znaki chłopom. Jednakże takie bunty były bezwzględnie tłumione. Sowietkie dekrety zabraniały posiadania broni obywatelom, dlatego buntownicy często szli na karabiny maszynowe z widłami.

Holodomor powinien być nieustannym ostrzeżeniem do czego prowadzi nieograniczona władza państwowa, która niszczy prawa boskie i natury. Krótki przegląd amerykańskiej Karty Praw Obywatelskich pokazuje, że prawie każde z tych praw było łamane przez Stalina na Ukrainie. Jednakże, mimo łamania woli narodu duch ukraiński przetrwał aż do uzyskania „niepodległości” w 1991 r.

Tutaj w Stanach Zjednoczonych organizacje Amerykanów pochodzenia ukraińskiego, takie jak: Ukrainian Congress Committee of America www.ucca.org, Ukrainian Genocide Female Foundation www.ukrainianguenocide.com i inne działały uparcie na rzecz upamiętnienia *Holodomoru*. W ubiegłym roku obchodzono 75-lecie głodu na Ukrainie a Izba Reprezentantów Kongresu USA uchwaliła deklarację potępiającą to ludobójstwo. Obecnie UCCA przygotowuje akcje (przy poparciu *The New American*), mającą na celu odebranie nagrody Pulitzera Walterowi Duranty'emu.

James Perloff - THE NEW AMERICAN, February 16, 2009
(z angielskiego tłumaczył Stanley Sas)
